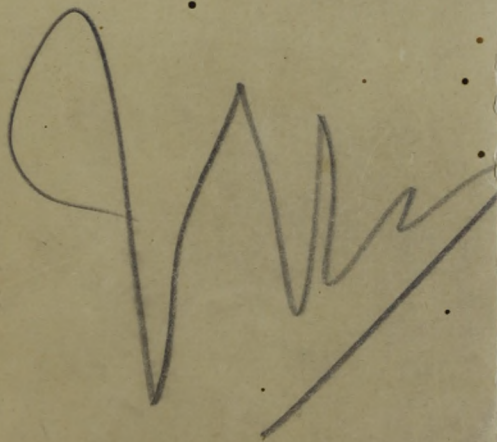




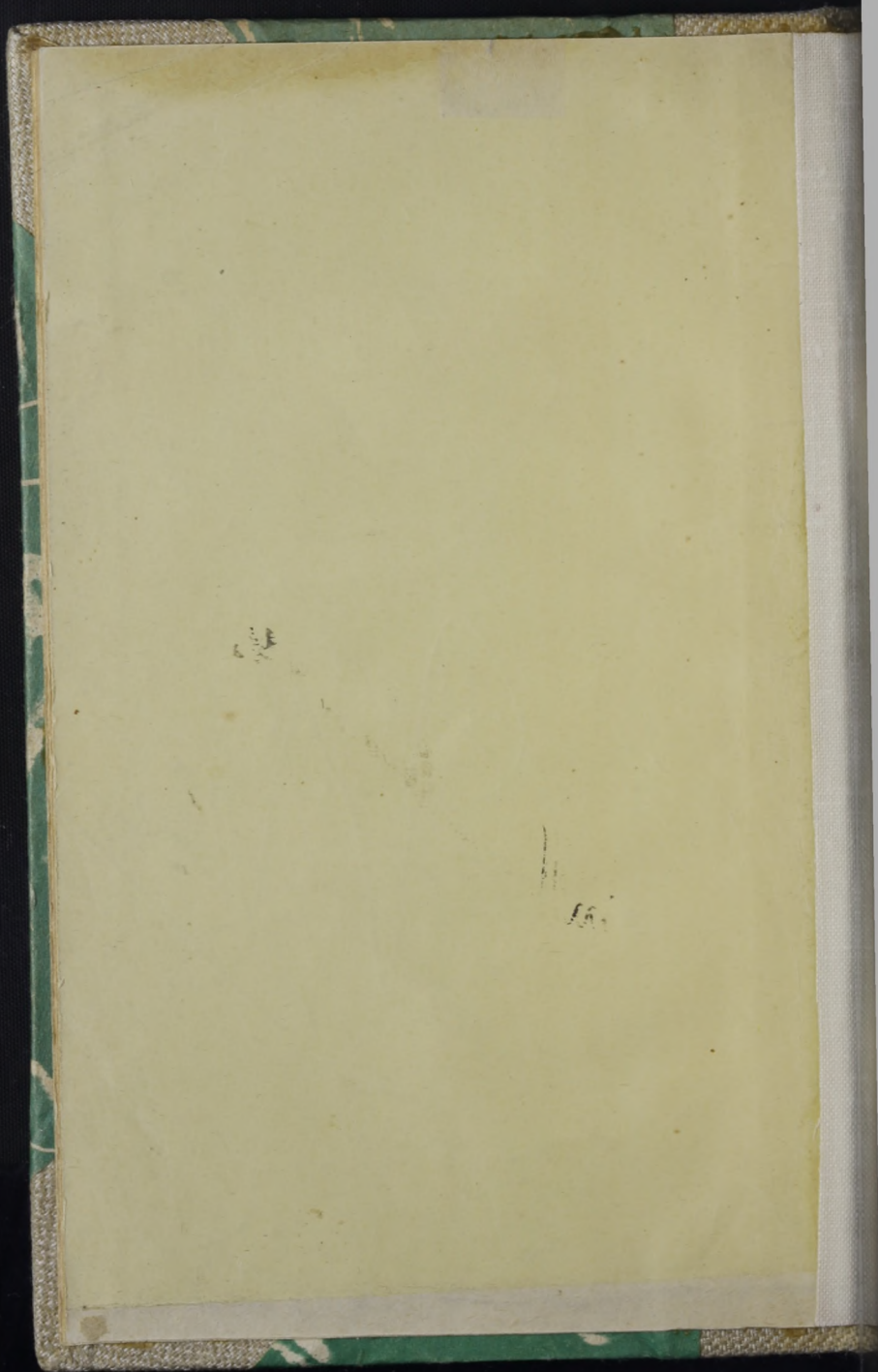
1.267.825

KAROL IRZYKOWSKI

# NOWELE



ALBIN STAUDACHER I SPÓŁKA STANISŁAWÓW  
JAN FISZER WARSZAWA  
1906





NOWELE

*Thyngheken elly*

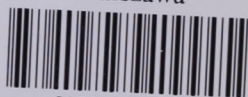
1800



KAROL IRZYKOWSKI  
**NOWELE**

ALBIN STAUDACHER I SPÓLKA STANISŁAWÓW  
JAN FISZER WARSZAWA  
1906

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001016008296



I. 267.825

---

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

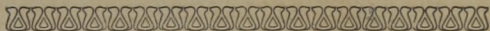
196515414/22



## WYCIECZKA W ŚWIAT DALEKI.

Wycieczkę tę odbył emerytowany dyrektor gimnazjum w R., pan Zygmunt Zaliński.

Był on jednym z głównych światła na kandelabrze inteligencji powiatowej, wykształceniem swoim imponował nietylko panu burmistrzowi, ale nawet panu c. k. staroście, a zażywał rozgłosu takiej znacności, że nawet studenci nazywali go »dobrym chłopem«. Za czasów swego dyrektorstwa udzielał w gimnazjum matematyki i fizyki i starał się zawsze o wykład popularny i zajmujący. Naukę fizyki odbywał zwykle w gabinecie fizykalnym, puszczając w ruch przed oczyma zdumionych uczniów maszyny elektryczne i parowe lub rozkładając wodę na wód i tlen. Wprawdzie nie każde doświadczenie się



udawało, ale dyrektor umiał się wtedy zawsze zręcznie wykręcić, zwalając winę na powietrze, temperaturę lub na niedokładność przyrządów. Jednak uczoność nie była u niego drugą skórą jak u tych zardzewiałych pedantów, którzy wynudzają od przyrody jej tajemnice, — była raczej bluzą robotnika, którą zrzucił bardzo chętnie, pokazując pod nią człowieka światowego i bywalca. Poza szkołą był sobie taki panie dobrodzieju naturalny, jowialny, prawie wieśniaczy. Raz spotkał się u Linka z jakimś nieznanym hreczkosiejem, który zachwycony dyrektorem, sądził, że ma z drugim hreczkosiejem do czynienia, i zagadnął go:

— Jakże tam zbiory?

Dyrektorowi pochlebiła ta pomyłka, lubił o niej opowiadać, a po złożeniu berła dyrektorskiego, kupił sobie folwark w pobliżu miasta i gospodarował już na nim od dwóch lat. W pewnych odstępach czasu uznawał za stosowne pożałować siebie:

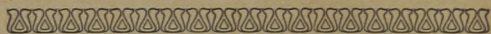
— Już dosyć się naharowałeś dyrektorem, odpocznij sobie!...



Mył wtedy ręce powalane ziemią, wołał do siebie ekonoma, wyciągał z niego rady gospodarcze i zamieniwszy je na rozkazy, wyjeżdżał do R., gdzie zamieszkiwał u swojej zamężnej córki i oddawał się życiu towarzyskiemu: odwiedzał znajomych, odbierał ukłony od uczniów gimnazjalnych, prostował omyłki opinii politycznej miasteczka, dowcipkował na temat »prowincyi«, swatał suplentów i grał »preferka« w kasynie. Uchodził także za doświadczonego znawcę wina, to też nie brakło go na żadnej uroczystości familijnej u znaczniejszych obywateli miasta R., a każdy z nich nie posiadał się z radości, gdy dyrektor ze słowami: »Paradne winko!« stawiał wypróżniony kieliszek na stole i klepał się po brzuszku, patrząc, rychło mu drugi naleją.

W królestwie Bożem więcej jest radości z nawrócenia jednego grzesznika niż z 99 sprawiedliwych. Dla dyrektora królestwem takim był wspomniany już powyżej handel korzenny Linka, czyli krótko Link, a grzesznikiem, na którego nawrócenie





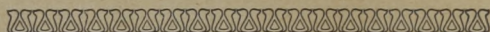
czyhał, był pan Grimmer, profesor tamecznego gimnazyum. Ale człowiek ten, dziewiczy pod względem picia, nie łatwo dał się uwieść. Był zamknięty w sobie, trzymał się zdaleka od reszty profesorów, traktując ich ironicznie, oni zaś mieli respekt nie tyle może przed nim samym, co przed erudycją, której się w nim domyślali. Każdy z nich rozmawiał z Grimmerem bardzo ostrożnie, unikając tematów naukowych, podobnie jak dandys w towarzystwie damskiem stara się według przepisów salonowych o ile możności jak najrzadziej pokazywać tę stronę swojej postaci, która niestety nie może już być także częścią frontową.

Możnaby nazwać Grimmera poważnym, gdyby postać szczupła, wysoka, nieco zgarbiona, twarz zwiędła, zgryźliwa, usta wciąż zaciśnięte, jakby wstrzymywały słowo sceptyczne, i kapelusz angielski (Grimmer był anglomanem) nie dodawały istocie tego człowieka oprócz odcienia milczącej opozycji także odcienia jakiejś oryginalności. Oryginalność ta wywoływała dzi-

wienie, chwilę zastanowienia, a potem wzruszenie ramionami, wobec czego szacunek, który zwykle nie bywa przywilejem wyjątków, obudzić się nie mógł. Wszyscy prawie zachowywali się wobec niego obojętnie lub nawet wymijali go: był to rodzaj nieumówionego sojuszu przeciw wspólnemu wrogowi.

Tylko jeden pan dyrektor nie miał pre dyspozycyi do tej, jak ją nazywał, Grimmerofobii. Był dawnym kolegą szkolnym Grimmera; z koleżeństwa tego zostało się jeszcze tylko poufałe »ty«, na podstawie którego dyrektor zmuszał ciągle Grimmera do rozmowy, prawiąc mu morały. Profesor potakiwał, patrzył w bok, szukając sposobu ucieczki, wreszcie zniecierpliwiony, rzucał od czasu do czasu cierpkie przy cinki, a gdy to nie wystarczało, uciekał się nawet do słów gburowatych i prostackich. Dyrektor jednak przyjmował te słowa z tak lekceważącym uśmiechu wyższości, jak Gulliwer strzały Liliputów, mrugał do swoich przyjaciół oczyma, udając w ten sposób, że uważa Gimmera





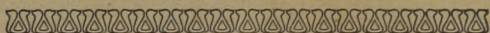
za kawałek waryata, na którego wybryki trzeba być wyrozumiałym; roztaczał wreszcie nad nim rodzaj kurateli, co mu tem łatwiej przychodziło, że Grimmer nie starał się nigdy imponować swoją inteligencją, prostactwa zaś jego stawały się nieraz tak niezgrabnymi i przesadnymi, że przekraczały granicę rozmyślnej obrazy, i dyrektor mógł zachowywać się wobec nich, jak król wobec żartów nadwornego błazna. Grimmer korzystał ze swego przywileju, który mu dawał swobodny *modus vivendi* z dyrektorem, zresztą jego potrzeba szczerości, objawiająca się dotąd w ironii, znajdowała w ten sposób nowe ujście. Obaj grali komedję: dyrektor starał się upokorzyć Grimmera pobłażaniem; Grimmer, któremu zresztą niewiele chodziło o moralne zgnębienie dyrektora, miał nadzieję, że ludzie zaliczywszy go wreszcie do gburów lub waryatów, przejdą nad nim do porządku dziennego i dadzą mu spokój.

W ten sposób wywiązała się dziwna komitywa między dwoma sprzecznymi charakterami. Wnet jednak zasmakował



Grimmer w swojej roli i nie unikał już towarzystwa dyrektora. Jego ironia wyrodziła się w złośliwość i dyrektor znajdował się nieraz w położeniu tego pogromcy zwierząt, który drapany do krwi przez nibyto łaszące się lwy, musi zacisnąć zęby i udawać, że uważa to za niewinną swawolę. Dla Grimmera, który nie posiadał ambycyi w zwykłym znaczeniu tego wyrazu i dawał się poniżać, jak się komu podobało, nie przynosił ten stosunek żadnego rozchodu w honorze, ale dyrektor czuł, że stał się niewolnikiem wytworzonej przez siebie samej sytuacji.

W mieście nikt nie wiedział, że Grimmer pisywał i drukował rozprawy filozoficzne. Razu pewnego zdarzyło się, że zamężna córka dyrektora, przeglądając jeden z tygodników literackich, znalazła w nim krytykę ostatniego dzieła Grimmera i pokazała ją dyrektorowi. Krytyka była dosyć szczegółowa, wykrywała nielitościwie i subtelnie braki w książce Grimmera i nazywała ją wkońcu: »dzieciństwem i stratą czasu«. Dyrektor przeczytawszy



to, uczuł pewną ulgę, przekonał się, że Grimmer nie jest taką powagą, jak się zdawało i postanowił mu się za to odwdziaczyć.

Idąc do Linka spotyka go, chwytą za rękaw i wita:

— Dobry wieczór, panie profesorze, a gdzie to Pan Bóg prowadzi?

— Pan Bóg tylko pijaków do domu prowadzi, porządni ludzie sami chodzą. Bądź zdrow dyrektorze!

— Ha, ha! alluzya do mnie, ale za karę musisz pójść ze mną do Linka. Wszakże to dziś twoje imieniny, panie Romanie?

— Aha! Zapaliłem już w piecu wszystkimi gratulacyami.

— No, to chodź! obiecałeś mi raz zadebiutować u Linka, dziś musisz dotrzymać.

Ujął Grimmera pod ramię i wabił syrenim głosem:

— Chodź, chodź, na maleńką konferencyę piwną. Cóżto? nieposłuszeństwo? Zasuspenduję!

W tej chwili nadszedł inny »stammgast«



Linka, pan Sasiadzki, którego dyrektor wezwał zaraz do pomocy. Grimmer nie opierał się już, rzekł tylko:

— Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli się znalazł ktoś taki głupi, że chce mnie upoić.

— Ej, ej, co też ty wygadujesz Grimmerku — rzekł dyrektor, mrugając do Sasiadzkiego.

Weszli.

— Ksawery, trzy koniaki!...

Podano.

Grimer pił powoli, zakrztusił się, oczy zaszczyły mu łzami. Chwycił łąpczywie zakąskę.

— *Anfänger! Anfänger!* trzeba golnąć od razu!

— Już to pan dyrektor mógłbyś pod tym względem dawać koncerta.

— Za dużo sobie pozwalasz, Grimmerku!

Grimmer nie odpowiadając, przysunął sobie krzesło, wziął dziennik leżący na stole i zaczął czytać. Gdyby papier był przezroczystym, dojrzałby Grimmer litościwy



uśmiech na twarzy dyrektora, połączony z kiwaniem głowy.

Postawiono przed nimi piwo. Dyrektor ujął spód szklanki w końce trzech palców i sposobem przekazanym przez innych sławnych biboszków miejscowych krążył nią zrazu w dół, potem »wyczyniał« w górę do słońca, przyczem piwo mieniło się kolorem złota, nabierało cudnego blasku, wdzięczyło się, uśmiechało do swych przyjaciół i stawało się — piwciem.

— Jakto dyrektor tak jakoś umie... jakby czarował piwo... zaraz potem człowiekowi lepiej smakuje — podziwiał Sąsiadzki.

Dyrektor uśmiechał się z zadowoleniem.

— Dyrektorze!

— Co?

— Jakże tam zbiory?...

Grimmer robił alluzję do ulubionego opowiadania dyrektora.

— Dobrze. A u was?

— Przy maturze? Sama słoma. Posiani jeszcze za czasów twego dyrektorstwa.

Sąsiadzki tymczasem przystąpił do kosza

z laskami, zaczął wybierać i wyjąwszy kilka laseczek, próbował ich giętkości.

— Cóż to pan robisz? kupujesz pan laseczki? — pyta dyrektor.

— To dla mojego syna. Czy taka będzie dobra?...

— Dawniej kupowałeś pan na niego. Ale słyszałem, że zdał maturę. Musiałeś się pan bardzo ucieszyć.

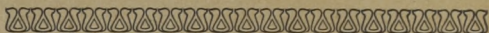
— Lazł, co prawda, lazł, ale wylazł i jest z mniejszą fatygą tam, gdzie każdy inny, który się lepiej uczył. A z tego mu zrobię jutro prezencik. Rano, gdy będzie jeszcze spał, położę mu to na krzesło.

— Spóźniona niespodzianka! — odezwał się Grimmer.

— Dlaczego?

— Gdym dziś pytał pańskiego syna z historii, dziwiłem się, dlaczego trzyma nogę pod stołem tak sztywnie wyprostowaną. Upuścił ołówek, ale nie schylił się by go podnieść. Wtedy domyśliłem się czegoś. Po ogłoszeniu rezultatu matury przekonałem się o słuszności mego domysłu. Za ledwie przebrzmiało słowo:





»Zostali uznani za dojrzałych«, a tu jeden dojrzały wyciąga schowaną w spodniach laseczkę i zapala sobie cygaro, zapewne, aby zmanifestować w ten sposób swoją dojrzałość.

— A to wisus! — rzekł dyrektor, śmiejąc się.

— To mnie wcale nie cieszy, doprawdy wstyd mi — mówił zakłopotany Sąsiadzki.

— Niema czego — uspokajał go Grimmer. — Dlatego, że nosił przy sobie laskę? Hm, nosił ją może jako talizman, albo zadatek przyszłości i krzepił w ten sposób odwagę. Szkoda tylko, że tak niewygodnie, bo biedak chodził przez cały czas, jakby miał nogę sparaliżowaną...

Dyrektor przerywając z lekceważeniem wywody Grimmera, zapytał Sąsiadzkiego:

— No, a gdzież teraz pański syn idzie, jeżeli wolno zapytać?

— Do Grünberga, na komersik — odpowiedział Grimmer.

— Oto się ciebie nikt nie pyta.

Grimmer zagłębił się znowu w gazecie. Nagle zobaczył, że między jego nos a pa-



pier ktoś wsuwa jakiś biały przedmiot. To Sąsiadzki podawał mu papierosa. Grimmer nie palił i miał już podziękować, ale spojrzawszy na dyrektora, zapragnął zabawić się jego zdziwieniem, przyjął tedy papierosa i dodał:

— Daj mi pan jeszcze ognia.

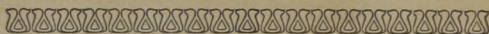
Sąsiadzki rzekł: »służę«, potarł zapałkę i służył.

Dyrektor bawił się znowu kaszlem Grimmera, a potem prowadził dalej rozmowę z Sąsiadzkim. Dowiedział się od niego, że jego syn idzie na medycynę. Pochwalił bardzo ten zamiar i wnet zeszedł na ulubiony swój temat rozmowy o zawodach i ich popłatności, o pensjach i rangach urzędniczych.

Dyskurs był już dość daleko posunięty, gdy Grimmer skończywszy czytać, złożył gazetę i oparłszy na niej łokcie, przypatrywał się rozmawiającym.

— Tak to, tak — mówił dyrektor. — W dzisiejszych czasach tylko praktyczne zajęcia popłacają. Ale ludzie się marnują. Naprzykład ja, miałem od dziecka ogromne





zdolności do matematyki, potrafiłem nawet niegdyś mnożyć w pamięci kilkucyfrowe liczby. Gdybym był tych zdolności odpowiednio użył, byłbym może teraz milionerem. Mogłem być także zostać inżynierem i budowałbym teraz w Ameryce kamienice wysokie na 20 piętr, a dla siebie willę szwajcarską.

— A gdyby tak kto spadł z 20 piętra! — zauważył Sąsiadzki i wzdrygnął się.

— Zwłaszcza, gdy tyle kolei się buduje.

— A *perpetuum mobile* jeszcze nie wynaleziono — dodał Grimmer.

— I ty masz głos nieboraku? Czytaj no sobie tam gazetę i bądź cisio. Tam masz numer — rzekł dyrektor, klepiąc go po ramieniu z udaną poufałością.

Grimmer obrócił się do nich tyłem i poszedł do drugiego pokoju, gdzie stał bilard, wziął w ręce zwykłą laseczkę i zaczął posuwać kule. Dyrektor spostrzegł to, odebrał mu laseczkę z ręki i upomniał:

— Cóż to? zachciało ci się bawuńciać? Jeszcze co popsujesz!

Usiedli znowu.



— Ale, ale, czy pan wiesz, że Link wyjeżdża z R. i chciałby swój sklep odsprzedać? — spytał Sasiadzki.

Wtedy Grimmerowi przemknęła przez głowę myśl całkiem pospolitej, niewybrednej zaczepki, którąby w każdym innym razie odepchnął, ale teraz będąc nieco rozdrażnionym poprzedniem lekceważeniem dyrektora, wypowiedział ją:

— Aha! słuchaj no ty przedsiębiorczy człowiku! Zaproponuję ci jedno przedsiębiorstwo. Kupmy sobie po Linku tę knajpę. Twoje nazwisko na szyldzie byłoby doskonałym magnesem, a twój portret jeszcze większym. Już i tak powinien ci Link płacić pensję za twoją atrakcję.

— No, ciebie tobym nawet na kelnera nie wziął.

Przyjaciele zaczęli się traktować grzechnościami. Obecność trzeciego zaostrzała ich spór, który w innym razie byłby się zakończył pogardliwym machnięciem ręki u jednego lub drugiego. W celu obniżenia temperatury sporu rzucił Sasiadzki słowo:

— No, no, panie dyrektorze! ręczę,

żebyś zbankrutował. Jesteś pan zanadto gościnnym, zacząłbyś fundować całemu światu.

— Nie rozumiem, jak sobie ty śledzienniku pozwalasz drwić z przedsiębiorców — mówił do Grimmera dyrektor, któremu słowa Sąsiadzkiego wróciły protekcyjnalny ton. — Ty maszyno, ty fonografie do uczenia dzieci, pozwalasz sobie na jakieś ironijki i wypowiadasz je takim tonem, jakby te wasze uczoności były jakimś misteryum, od Boga wam poruczonem, wyższem od wszystkich innych rzeczy na świecie.

— Hm! Wasze! Czujesz w życiu jakiegoś niewidzialnego wroga, który ci się z rąk wyslizguje i chciałbyś go raz do muru przycisnąć. Dobrze, w zastępstwie tego wroga i ja stanę do walki. Chociaż może i ja się znajduję w podobnem jak ty położeniu... To wy, którzy stawiacie grube mury i przekopujecie kanały, kładzicie szyny i rzucacie na nie wozy żelazne — czego sobie oni nie uroili! Dlatego, że ich materyał jest gruby — i nieprzeźroczysty,



ciężki — i trudno go podnieść, ostry — i może zranić, dlatego myślą, że i oni są takimi. Materya ich przygniatała; nanieśli tedy materyał na materyał, zczepili go z sobą, zrobili nową mieszaninę, klasnęli w dłonie i zaimponowali sami sobie. Ale potrzeba się było odwdzięczyć temu, co ich tak wyniosło: postawili tedy materyę w świątyni swojej, ogłosili ją bogiem i bronili jej. Nie dziwne to, bo z upadkiem tego boga bankrutują sami.

Grimmer był oszołomiony cygarami i otaczającą go atmosferą trunków, i ta ściana, którą sztucznie wybudował między tem, co istotnie myślał, a tem, co mówił, nie podparta teraz wolą, rozsunęła się; i myśli rwały się na zewnątrz, jak dzieci wypuszczone ze szkoły, splądrowały magazyn słów, przybierały się w nie jak w sukienki i rozbiegały.

— I to wszystko odbywa się z takim głębokim przekonaniem, wiarą i powagą — mówił dalej Grimmer raczej do siebie, niż do obecnych. — O szczęśliwcy! o szlachetni! o... idealisci!

— Mówiąc po prostu, nie rozumiem pana — rzekł Sąsiadzki.

— Niema co rozumieć! To właśnie mój kolega Grimmer, jest zawsze starym, niepraktycznym idealistą. To, to właśnie nas zgubiło — tu dyrektor stuknął kilka razy palcem w stół. — To tylko, co można widzieć, zmierzyć, zważyć, usłyszeć, dotknąć, co nam daje wrażenie ciepła lub wychyla igiełkę magnetyczną — to tylko powinno być dla nas miarodajnem. Reszta jest złudzeniem, mrzonką, poezją. Wszystkie rozprawy filozoficzne, pisane przez pewnych profesorów, sprzedałbym na masło. Dzieciństwo i strata czasu. Albo literatura. To dobre dla bab te kłamstwa. Czas do prawdy zrzucić z głowy tę błazeńską czapkę, owieszoną dzwoneczkami i zacząć porządnie myśleć, a bajki zostawić niańkom. Już i tak pozostaliśmy w tyle za resztą Europy. Tak!...

Dyrektor zwracał się z tą całą perorą niby do Sąsiadzkiego, zachowując w ten sposób dalej pozór lekceważenia sobie Grimmera. Sąsiadzki zawsze pojednawczo



usposobiony słucał z namaszczeniem i potakiwał słowom dyrektora, był jednak w kłopotcie, jak się zachowa, gdy Grimmer przemówi.

Jak zwykle w takich razach nie była to porządna dysputa, w której jeden przeciwnik zbija argumenty drugiego nawiązując do jego twierdzeń, ale wymiana gotowych już frazesów przeciwko frazesom, bez porządku, jakby chodziło nie o zwyciężenie przeciwnika, ale o wystrzelenie wszystkich naboí. Grimmer odpowiedział na zaczepkę dyrektora preparatem filozoficznym, który jednak był rezultatem własnych rozmyślań, dyrektor wywzajemniał się pospolitymi komunałami nie tyle materializmu, co materyalistów.

Naraz przypomniał sobie Grimmer, że dyrektor przechodząc wczoraj koło kościoła, zdjął kapelusz z głowy. Zapytał więc:

— A, czy jest w twoim systemie jaki kącik dla Boga?

— A to inna kwestya. Tego się tykać nie powinno.

— No, a ja zawsze myślałem, że materializm idzie w parze z ateizmem.

— Przepraszam, protestuję. Nie jestem wcale materialistą, to ty nim jesteś niedowiarku. Ja tam w zbytnią pobożność się nie bawię, ale nie cierpię materialistów. Bronię tylko zdrowego, realnego poglądu na życie. Nie należy gnuśnieć, należy żyć! Po co filozofii, wszystko jest jasne jak na dłoni. Należy tylko czytać w otwartej księdze natury. Wszystkie inne książki spaliłbym. Wyjąwszy przyrodniczych, to się samo przez się rozumie.

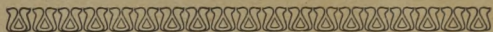
Tu ujrzał położone na stole *Kikeriki*, otwarte przypadkowo na stronie, gdzie był rysunek, przedstawiający w karykaturalny sposób książki zaopatrzone w ludzkie głowy, ręczki i nóżki. Wszystko to było chude i czarne, zgięte w kolanach, podobne raczej do karakonów, niż do ludzi i spieszyło gdzieś całym szeregiem. Dyrektor pokazał ten rysunek Grimmerowi i rzekł:

— Widzisz, na takiego zejdziesz. Trzeba żyć... Proszę jeszcze piwa!... A nie ślęczeć nad książkami, trzeba poznawać ludzi...



Kiedyż tam piwo?... Potem się robi taki ze zgiętymi kolanami stary safanduła, z zepsutym żołądkiem i śledzioną, a na starość hemoroidów dostaje... Ale Grimmerku — tu ujął go dobrodusznie za ramię — nie bierz tego wszystkiego do siebie, broń Boże, ja tylko mówiłem ogólnie, ogólnie...

Podczas całego przemówienia dyrektora uśmiechał się Grimmer czasami, ale zaraz potem marszczył czoło, jakby się gniewał na siebie za ten uśmiech. Raz nawet odwrócił się i spojrzał przez szyby okna w ogród, na czarne w zmierzchu postacie drzew, jakby tam miał jakiegoś sprzymierzeńca i zapytywał go po cichu: »czy to prawda?« Dyrektor mógłby być po tych wszystkich symptomatach poznać, że Grimmer nie uważał jego zarzutów za słuszne. Bo protestujemy zwykle tylko wtedy, gdy zarzut jest mniej więcej trafny, jeżeli zaś ktoś z tą bezczelną pewnością sądu, właściwą powierzchownym naturom, odmawia nam właśnie tego, co może środkiem naszej duszy stanowi, wtedy milczymy, bo na



taki zarzut niema ani obrony, ani zaprzeczenia, wtedy lubimy okryć się rezygnacją, jak Cezar płaszczem, gdy uczuł pchnięcie sztyletu Brutusa.

Grimmer nie wiedział zrazu, co odpowiedzieć, a odpowiedzieć musiał, bo nie mógł wstrzymać słów, jak nikt nie może wstrzymać kropli krwi, aby nie wytryskiwały z zadanej rany. Rozwarł wargi i cedził:

— Wymarzyłeś sobie bardzo dowcipnie ideał tak zwanego mola książkowego, który ci po nocach spać nie dawał. Bardzo ładny!...

Potem, zebrawszy myśli, mówił:

— Nie! nie ogólnie, ja przyjmuję to na siebie. Chciałbym mógł powiedzieć, że to właśnie... ale nie! Chciałbym ci przyznać niejedno i poprzec, ale nie, mówisz prawdę, lecz taki człowiek, jak ty, kłamie, kłamie zawsze, chociażby nawet prawdę mówił. Dlatego podejmuję rękawiczkę w imieniu tego mola, bo wiem, że chociaż mam na razie to samo hasło co ty, przecież znajduję punkt, na którym już



będę mógł walczyć, przecież dotrę do ciebie samego, i wyjmę z tego pancerza rzekomej jakiejś humanitarności takiego filistra, maleńkiego, zalęknionego filistra, filisterka... — mówił zupełnie już tym wyrazem rozbrojony, składając dłonie w kształcie jakby kołyski, w której chciał złożyć owego filistra.

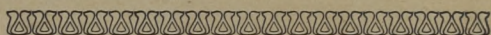
— Jak pan powiedział? nie dosłyszałem — odezwał się Sąsiadzki. — Ministra?

— Fi-li-stra! panie Sąsiadzki!

Dyrektor patrzył na Grimmera jakby mu wyrzucał, że łamie tę niemą umowę, według której mieli obaj być względem siebie tylko w pewien sposób niegrzecznymi. Byłby przyjął od Grimmera bardzo chętnie jakąkolwiek impertynencyę, byle tylko nie coś takiego, co wyglądało na szczerłość. Zerwał się tedy oburzony:

— Co ty mówisz, ty... kiepski filozofie?

— Ależ panowie, nie unoście się. Doprawdy, powinienes pan ustąpić — szepnął Sąsiadzki Grimmerowi do ucha, a potem toż samo dyrektorowi.



— Co mówię? ot to. Rzecz się tak ma. Są ludzie, którzy jako myśliciele są — niech będzie — materyalistami, w praktyce jednak są obrzydliwymi idealistami — to jest raczej realistami, ale dajmy pokój tym różnicom. U was religia jest idealna, wzniosła, i gdybyście wy byli takimi, jak wasza religia, toby was ziemia nie przyciągała. Ale za to wasz charakter jest materyalistyczny, chociaż wy o tem nie wiecie i na zarzuty w tym kierunku rozpaczliwiebyście protestowali. Hm! i ja także mówię ogólnie. Każdemu z was włożono w duszę bryłkę ziemi, dlatego grawitujecie do ziemi. Nie zapatrywania, ale charakter, charakter rozstrzyga. Ziemia chce istnieć, stroić się w kwiaty, drzewa, zboża, czy też budynki i piramidy, sfabrykowała więc sobie przedewszystkiem mnóstwo, mnóstwo robotników, użyłbym tu słowa ze Swifta »splaknoków«, i pozwala wam mieć w wolnych godzinach wasze zachcianki idealistyczne, bo ma was na łańcuchu niewidzialnym a silnym. Więc żyjcie w spokoju, ale dajcie żyć. Słyszysz dyrektorze,



daj żyć, a nie krzycz tyle, nie tupaj tak dumnie nogą o ten tak pewny grunt, na którym stoisz. Może się zawalić, a wtedy zobaczysz dziwa, zobaczysz, czem jest świat podminowany i jaką rzeczywistością jest wasza rzeczywistość.

— O, o! rozgadał się o filozofii — rzekł dawny pogromca Grimmera pogardliwie i nie mówił nic więcej, dając w ten sposób do zrozumienia, że miałby dosadną odpowiedź, lecz nie chciałby nią zniszczyć przeciwnika. — A proszę tam dać piwa — dodał, jakby nic nie zaszło.

— A proszę tam dać piwa — powtórzył wesoło Grimmer. — I przy tej szklance piwa udowodnię ci dyrektorze, jak niewłaściwie »splaknoki« pojmują filozofię. Chcą oni — z zemsty — żeby filozofia była synonimem niedołęstwa, nieporadności, podczas gdy właśnie filozof jest jedynym człowiekiem praktycznym, jedynym, który widzi jasno niebezpieczeństwa, widzi ten wielki miecz Damoklesa, zawieszony nad całym światem.

Wybiła ósma. Była to zwykła godzina,

w której się schodził kontyngens najznakomitszych gości Linka.

Słychać było jakieś kroki na schodach, jakby hipopotama i wkrótce wtoczył się do sali jakiś gruby jegomość, zaczął pozwoli zdejmować futro, w czem mu Ksawery dopomagał, tytułując go panem radcą.

— Oto jeden ze »splaknoków« — mówił po cichu do dyrektora Grimmer. — Cały dzień pracuje jak wół, bo jest głupi jak osioł, za to potem wieczorem żre i pije jak świnia! ten się zapewne trzeźwo zapatruje na życie.

Mścijmy się przyjaciele, ale nigdy otwarcie, zawsze na cudzy rachunek; będzie to znaczyło, że się za kimś ujmujemy.

Dyrektor podniósł się, nadał sobie wyraz bardzo poważny i rzekł gromkim głosem:

— Pókiś mnie brał za cel twoich nędznych żartów, milczałem, ale nigdy ci nie pozwolę obrażać mojego przyjaciela, człowieka ze wszech miar godnego i szanownego. Taki mi tu uczony, którego krytyka zbeształa!...



Zamiast być rażonym temi słowy, które dyrektor przygotował jako ostatni swój atut, Grimmer pochylił się w tył i zaczął się śmiać, trzymając się za miejsce, gdzie inni ludzie zazwyczaj brzuch posiadają.

— Ha, ha! Brawo, dziękuję ci dyrektorze! oto pokazałeś mi filistra!

Aby pokryć zdumienie wywołane tem zachowaniem się Grimmera, podszedł dyrektor ku nowoprzybyłemu gościowi i zaczął z nim rozmawiać. Wkrótce coraz więcej gości zaczęło napływać, wszyscy skupili się koło dyrektora, do którego należeli, jak promienie do słońca. Było między nimi także kilku profesorów, tkniętych Grimmerofobią. Jeden z nich przyniósł z sobą numer czasopisma, w którym była krytyka dzieła Grimmera, i na głos ją odczytywał. Grimmer starał się ukryć swoją obecność, aby obserwować rozjaśnione miny profesorów i słyszeć ich radosne wykrzyki: »a to go zbesztali!«. Ale czytający spostrzegł go, zmieszał się i zaczął natychmiast czytać inny artykuł. Wtedy Grimmer nie chcąc przeszkadzać,

wysunął się milczkiem z towarzystwa. Znalazłszy się na dworze, mruknął pod nosem:

— No, spodziewam się teraz, że aureola mojej uczoności zgaśnie! — i poszedł.

Po jego odejściu czytano dalej krytykę i rozmawiano o niej zawzięcie. Dyrektor okazywał swoją bezinteresowność, ujmując się zrazu za Grimmerem, który zdaniem jego jest człowiekiem bardzo nie-doświadczonym, ale »może się jeszcze wyrobić«. Chociaż Grimmer ma wiele wad, trzeba mu jednak przyznać to i owo. Przymioty, które dyrektor przyznawał Grimmerowi, były tej abstrakcyjnej, ogólnikowej natury, która każdego słuchacza obojętnym zostawia, naprzykład poczciwość, czytanie; o wadach zaś umiał opowiedzieć w sposób realistyczny, łatwo przyjmujący się w pamięci słuchacza.

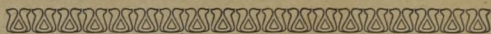
Była już 11-ta, gdy goście Linka odprowadzili gremialnie dyrektora do domu, życząc mu dobrej nocy. Dyrektor patrzył długo za oddalającymi się, a gdy ich stracił z oczu, zrobiło mu się jakoś dziwnie.



Brama była zamknięta, zadzwonił tedy i czekał.

Niebo było czyste, bez chmur, ale to go właśnie nie cieszyło. Ta przestronność wywierała nań wpływ przygnębiający. Zdawało mu się, że ciepło ucieka z ziemi wszystkimi porami, rozrzedza się i gdzieś tam daleko ginie zupełnie. Podniósł kołnierz płaszcza i zapragnął znaleźć się w ciepłym łóżku. W umyśle czuł jakąś czczość, zaczął tedy chodzić tam i napowrót po trotuarze i słuchać odgłosu własnych kroków, potem od czasu do czasu pogwiźdywał i stukał laską o bruk.

Przyszedłszy do domu myślał trochę o dzisiejszym zajściu z Grimmerem, to znaczy, przypominał sobie jego szczegóły, nie czując nawet potrzeby zastanowić się nad tem, jak ma z nim nadal postępować. Wziął do ręki wielkie dzieło Neumayra o ziemi i przeglądał ilustracye. Zamknąwszy książkę, zaczął się znowu przechadzać po pokoju, zdejmując powoli ubranie. Wśród tego zatrzymał się przed swoim łóżkiem, nad którym wisiała jakaś foto-



grafia w ramach wysadzanych mchem i muszelkami. Oparłszy jedną rękę o ścianę, dyrektor pochylił się i patrzył.

Fotografia przedstawiała jego synka Teosia, zmarłego w 8-ej wiosnie życia.

Dyrektor patrzył długo, wreszcie wziął lampę ze stołu, oświetlił nią twarz dziecka i znowu patrzył. Potem zdmuchnął lampę, mruknął kilka słów, mających zastępować modlitwę i położył się do łóżka.

Ludzie tacy jak dyrektor, zajęci przede wszystkim praktycznym życiem nie mają wiele czasu na sprawy leżące poza sferą interesów, na sprawy, o których wiadomo, że się nie rentują. Załatwiają się z sztukami pięknymi, umieszczając w swoich salonach na stoliku bogato oprawnego »Pana Tadeusza«, zbiór ilustracji Kossaka do powieści Sienkiewicza i cykle obrazów Grottgera, załatwiają się z miłosierdziem rzucając od czasu do czasu kilka groszy do skarbonki, a gdy przechodzą przed kościołem, nie zapominają zdjąć kapelusza, aby nie obrazić Pana Boga na wypadek, gdyby istniał. Mówią, że człowiek inteli-

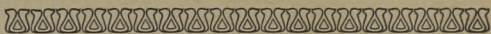


gentny nie powinien być bigotem i narzucać się Panu Bogu, modlą się tedy krótko z taką samą miną, z jakąby płacili swoje raty w towarzystwie ubezpieczeń.

Dyrektor położył się twarzą do ściany i usiłował zasnąć. Po jakimś czasie obrócił się na drugą stronę.

Przez okno wychodzące na ulicę świeciła pełnia księżyca. Dyrektor patrzył w kwadraty świetlne wyznaczone na podłodze wąskimi cieniami ram okna. Wreszcie spostrzegł, że okno jest tylko przymknięte i pomyślał, że należałoby je zamknąć, ale było mu już tak ciepło w łóżku, że nie spieszył się. Tak upłynęło kilka minut i drzemiącemu dyrektorowi zdawało się, że okno już oddawna zamknięte.

Naraz obie połowy okna skrzyknęły i roztwały się lekko, jakby silniejszy powiew wiatru w nie uderzył. W tej samej chwili ujrzał dyrektor, jak tarcza księżyca na chwilę zasłonięta chmurami wysunęła się znowu z poza nich, niby koło z poza trawy wysokiej i zaczęła się staczać w dół,



po srebrnym gościńcu własnego światła, coraz niżej, aż ku niemu.

Jakaś postać, cała owinięta długim płaszczem, zstąpiła z tarczy, której olśniewający blask natychmiast zgasł.

Dyrektorowi zdawało się, że to był Grimmer. Postać dotknęła się jego dłoni i dała mu znak, by się udał za nią, a było w tem coś tak rozkazującego, że dyrektor się nie opierał. Czuł się jakby niewidzialną siłą przyciągniętym i podniesionym w górę.

Nie dziwił się temu wcale, że leciał. Spojrzał w górę. Kamienice otaczające ulicę pozwalały widzieć tylko małą część nocnego nieba, podobną do rzeki, w której się gwiazdy jak ryby nurzały. Wkrótce jednak wznieśli się ponad najwyższe budynki miasta. W dole jarzyło się tysiące świateł, światła te zlewały się coraz bardziej z sobą, było ich coraz mniej, wreszcie całe miasto było tylko jednym punktem świecącym. Wkrótce i ten punkt znikł.

Zato coraz większy okrąg nieba otwierał się przed nimi. Zdawałoby się, że ziemia się cofa, maleje, aby oddać oku



ludzkiemu te obszary bez granic, które dotychczas swem nieprzeźroczysem cieleśkim zalegała. Dyrektor widział już około siebie tylko niebo i gwiazdy.

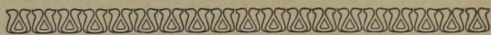
Ale podróż ta nie dziwiła go wcale. Całe niebo nie robiło na nim innego wrażenia, jak to, jakieby zrobiła pierwsza lepsza karta astronomiczna, przedstawiająca niebo. Jedna tylko rzecz go niepokoiła. Nie mógł się zorientować, w jakim kierunku lecą. Dotychczas zdawało mu się, że się wznoszą, lecz było także możliwe, że spadają. To spadanie wyobraził sobie naraz tak silnie, że zakołysał się, zaczął krzyczeć i machać rękami, szukając punktu oparcia. Grimmer jednym wyciągnięciem ręki uspokoił go.

— Gdy małym dzieciom śni się coś podobnego, mówi się im, że rosną.

— Dziękuję ci profesorze, że mi przywracasz równowagę.

— Równowagę? jak to rozumiesz?

— No... równowagę, *Gleichgewicht*. Ale jedno pytanie. Wznosimy się, czy spadamy?



— Tu niema mowy ani o jednym, ani o drugim. Tu jest bezwzględność.

— Teraz ja nie rozumiem. Co to jest bezwzględność?

— Brak zwykłego punktu, który nam dotychczas dawał podstawę do tych dwóch określeń. Nie widzisz ziemi, dlatego nie możesz nazwać kierunku.

— Ależ to sprawia zawrót głowy.

— Zapewne, bo pan czujesz, że ten hak w twojej mózgowicy, na którym dotychczas zaczepiałeś wszystkie wrażenia i pojęcia, teraz się chwieje.

— Ależ nie można się tak odrazu do tego przyzwyczać.

— A pfe! panie dyrektorze, pan nie mógłbyś się przyzwyczać?

— Nim to nastąpi, chciałbym jeszcze raz, ale naprawdę tylko tak dla zabawki, zastosować dawną metodę. Bądź pan łaskaw objaśnić mnie, gdzie ziemia?

— Tam! ale za mała i za daleka, by się według niej oryentować.

Dyrektor spojrział. Zobaczył jakąś kulę



obtłuczoną po bokach i oklejoną kolorowanym papierem.

— Ależ to jest nasz...

— Stary, podarty globus geograficzny, bo nigdy nie chciałeś sprawić nowego.

Dyrektor zamilkł, ale zrobił taką minę, jakby mu kto zdejmował ciasny, zabłocony but z nogi.

Wylądowali wreszcie na jakiejś wyspie, wzniesionej z chmur i mgły. Końca jej nie było widać z powodu oślepiającego światła, które biło potężnie z jakiegoś niewidzialnego źródła. Miliony iskier rozsypywały się stąd w bezgraniczną przestrzeń i wbiegając na przeznaczony im tor, rozpoczynały żyć jako gwiazdy.

Dyrektor zawahał się z początku:

— Ej! jakże tu iść dalej? a nuż ugrzęznę w tej gąbce?

— No, to i cóż? spadłbyś potem z deszczem na ziemię, kto wie nawet, czy nie w balię, do której twoja gospodyni łapie deszczówkę.

Dyrektor przysiągł sobie w duchu, że skoro się tylko z tego wszystkiego

otrząsie, natychmiast zasuspenduje Grimmera. Tymczasem spinał się za nim po jakiejś niby skale, usiłując go złapać za buty i ściągnąć na dół. Wgramoliwszy się na szczyt, ujrzał przed sobą dolinkę, wysłaną kobiercem pięknych roślin i kwiatów. Zbiegł na dół, podskakując jak młody żróbek, tak szybko, że Grimmer zaledwie mógł za nim zdążyć.

Na środku dolinki stał długi stół, okryty zielonem suknem, a przy stole siedział jakiś staruch z długą siwą brodą, w szlafroku, z piórem poza uchem. Dyrektor zbliżył się na palcach, dając swemu towarzyszowi znak, by się również cicho zachowywał.

— Pst! św. Piotr!...

I podpatrywał z poza ramion Grimmera co robi ten stary brodacz przy stoliku.

Święty poprawiał zadania. Po jego lewej ręce leżały stosy zeszytów, rozspanych w nieładzie. Były tam zeszyty z zieloną, żółtą, czerwoną, niebieską okładziną, z kilku wysterczał brzeg bibuły. Poprawione zadania odkładał na prawo.



Św. Piotr brał właśnie do ręki zeszyt z brunatną okładzinką. Na białej ząbkowanej karteczce napisane było: Zygmunt Zalipski. Dyrektor poznał swoje własne pismo i zaparł dech w sobie. Św. Piotr, umaczawszy kilka razy pióro w czerwonym atramencie, jakby się przygotowywał do długiego i mozolnego poprawiania, otworzył zeszyt dyrektora.

Otworzył i czytał. Czytał, czytał, ale im dalej czytał, tem częściej trząsał głową i kręcił nosem. Dyrektor obserwował z niepokojem miny św. Piotra, a gdy doszły do kulminacyjnego punktu, zapominając o ostrożności, rzekł rozżalony:

— Ależ to zadanie nie jest znowu tak zupełnie złe.

Apostoł, zapewne trochę głuchy na prawe ucho, nie dosłyszał. Wreszcie skończył czytanie, wznosił oczy w górę, namyślał się trochę, gładził brodę, potem machnął ręką, jakby chciał powiedzieć: »Et!« i dwoma pociągnięciami pióra przekreślił całe zadanie. Już, już chciał go dyrektor chwycić za rękę.

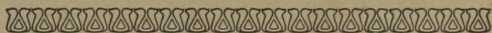
Ale św. Piotrowi nie było dosyć: umazał rączkę pióra tępym końcem w atramencie i jeszcze raz i drugi przejechał nią po zadaniu. Gdyby kto dyrektorowi skórę nożem krajał, nie bolałoby go to tak, jak to przekreślanie.

Św. Piotr odłożył na bok zadanie studenta Zalipskiego i wziął się do nowego. Dyrektor stał jakiś czas nieruchomo, a potem wspiąwszy się na palcach stóp odwracał ostrożnie kartki swego zeszytu i starając się sprawić jak najmniej szelestu, otworzył zeszyt w miejscu, gdzie było ostatnie zadanie. Patrzył chwilę na swój elaborat, potem zerknął na św. Piotra, a przekonawszy się, że święty jest całkiem zatopiony w nowym zadaniu, wyciągnął rękę i skradł scyzoryk leżący na stole. Grimmer, widząc dyrektora ze scyzorykiem, nadbiegł w obawie o św. Piotra, lecz wnet się uspokoił, gdy zobaczył, jak dyrektor pochylony nad swoim zadaniem skrobał coś zawzięcie, zdmuchiując od czasu do czasu wyskrobane białe cząsteczki papieru.



Wtem św. Piotr sięgnął po swoją tabakierkę i przypadkiem potrącił dyrektora. Dyrektor stanął jak żak złapany na gorącym uczynku i patrzył z przerażeniem w surową twarz świętego, ale pomimo to zaśloniwszy scyzoryk jedną ręką, skrobał dalej drugą.

Tego już św. Piotrowi było za dużo, wstał z krzesła i otworzył usta... Dyrektor jednak cofnął się, ujrzał przed sobą jakieś schody i zbiegł po nich na dół. Otworzył drzwi do sali, w której uczył, wszedł i zasiadł przy katedrze. Słyszał szmer uczniów w ławkach. Przy tablicy stoi jeden z jego najzdolniejszych uczniów, Różański, i z bezczelną, tryumfującą miną udowadnia mu, że dwa a dwa jest pięć. Dyrektor wstaje z katedry, blednie, potnieje i ocierając chustką czoło przystępuje do tablicy, bada skrupulatnie, czy nie znajdzie w dowodzie jakiego błędu. Ale założenie, twierdzenie i dowód, wszystko było z jak największą dokładnością przeprowadzone. Różański czekał z kredą w palcach i kołysząc się na pięcie, roz-



glądał się po suficie, jakby był zupełnie pewnym swego. Dyrektor włożył szkła, przejrzał jeszcze raz cały rachunek, a potem czmychnął na korytarz, pędzony śmiechem uczniów, który go dolatywał przez niezamknięte drzwi. Dogonił wreszcie Grimmera i nie mówiąc mu nic o tem zajściu, naglił do pospiechu.

Dążyli tedy dalej po szerokich błoniach niebieskich, a nie było końca.

Ponad nimi unosił się w ruchach harmonijnych rój białych istotek, to wzlatując, to podając się w dół, jak chorągiew pod wiatru powiewem. Ich lot wydawał dziwny dźwięk. Były to główki anielskie, skrzydlate, podobne do tych, jakie się widuje na obrazach dawnych mistrzów włoskich. Wiele z tych istotek uganiało po polu, chowało się poza kwiatami i bawiło wesoło. Dwaj przybysze stąpali ostrożnie, czując się niejako plamą na tych obszarach, gdzie wszystko było szczęściem i rozkoszą.

Tam jednak w dali widać było, jak proszek eteru, dotychczas niepokalanej jasności, drży coraz bardziej w barwę różową



i czerwoną ścianą się kończy, wirując z szaloną szybkością.

Było ogrodzenie, uczynione ze złotych sztachetów. Brama uchylona, a na jej szczycie siedział mały aniołek. Zobaczywszy nadchodzących, zleciał i ukrył się gdzieś między kwiatami.

Wtedy Grimmer zerwał dyrektorowi kapelusz z głowy i pogonił za aniołkiem. Dopadł go wreszcie i przykrył kapeluszem, potem ujął w palce ostrożnie za skrzydełka i położył dyrektorowi na dłoń. Aniołek nie uciekał wcale, przymknął tylko na chwilę powieki z bojaźni, ale wnet je otworzył i utkwiał cudne błękitne oczy w twarz dyrektora.

Dyrektor poznał naraz swoje zmarłe dziecko. Poznał je po tem mgnieniu powieki. Przywiodło mu to na pamięć chwile, kiedy nad ranem, siedząc przy łóżeczku chorego synka, czekał, aż się zbudzi i spojrzy nań temi oczyma, przez które, zdawało się, całe ukryte niebo, jak przez okienka, patrzyło na świat. I raz także tak samo czuwał, ale powieki się już nie

podniosły, a on sam nie miał odwagi ich rozewrzeć, położył tylko na nich ostatni pocałunek. A teraz! Cały czas miniony jakby się zapadł gdzieś, a on jest znowu przy nim!

— Teoś! gdzieżeś ty tak długo bywał?

Teoś nie odpowiadał. Dyrektor wskazał ręką na ścianę czerwoną i spytał:

— Teoś, a co jest tam poza tem?

— Tatku — nic!

I uleciał. Dyrektor chciał biedz za nim, ale go Grimmer powstrzymał i zawołał groźnie:

— A teraz dalej!

Dyrektor spojrział w dal i wzdrygnął się:

— Nie! nie chcę!

— Musisz.

— Nie pójdę.

I uchwycił się z całej siły rękami za sztachety u bramy. Lecz nieubłagany Grimmer odczepił mu palec po palcu i pchnął go w dalszą podróż.

Już poza nimi pole niebieskie, poza nimi ściana czerwona, a oni wciąż pędzą. Mijają coraz to nowe światy, spieszą przez



coraz to nowe przestrzenie eteru. Ale pomimo to, zdaje się ciągle, jakby stali na miejscu, bo wokoło nich było zawsze to samo, a podróż nie dawała żadnego rezultatu.

Dyrektor zaczął się niepokoić. W tem wszystkim czuł już coś nieprawidłowego. Naraz ujrzał w dole jakby jakieś ogromne drzewo samotnie rosnące w pustyni i błysła mu myśl szczęśliwa:

— Mierzyć!...

Sięgnął do kieszeni i wyjął pasek centymetrowy. Jeden koniec przytknął do stóp drzewa, rozwinął zwitek i zaczął mierzyć przestrzeń. Rezultaty zapisywał w notatce, a od czasu do czasu zrachowywał sumy. Grimmer patrzył obojętnie na tą robotę, szedł sobie powoli i pogwizdywał.

Naraz cisnął dyrektor centymetr i ołówek już prawie całkiem spisany, rzucił się na ziemię i oddychał głęboko. Grimmer czekał, aż towarzysz wytchnie, potem dzwignął go i podtrzymując ramieniem poszedł z nim dalej.

Od jakiegoś czasu nie widzą już nic

ani przed sobą, ani poza sobą, a promień oczu rzucony w otchłań wraca bez obrazu. Oczy dyrektora nawykłe zawsze coś obejmować, o coś uderzać, były jak martwe. Spytał Grimmera:

— Gdzież koniec?

— Koniec? co to jest? czy myślisz, że wszechświat jest czemś takim, jak twój nos, który nie może się obejść bez końca? Wyjmij sobie to słowo z duszy i ciśnij je — tam...

— Nie mogę.

— Ha! ha! to radź sobie sam. Przecież i tu jesteś tak samo we wszechświecie, jak byłeś na ziemi. Czyliż ziemia nie przebiega tych sfer? Czyż to miejsce nie jest taką samą częścią świata, jak twoja izdebka, w której ci było tak swojsko? Więc zostań tu, wszak tu twoja ojczyzna!

Chciał odlecieć sam, lecz dyrektor wstrzymał go za płaszcz i błagał ratunku. Wtedy Grimmer spojrział nań i jego twarz wykrzywiła się całkiem od szyderskiego śmiechu, rozszerzała się coraz bardziej i potworniała. Cała postać stawała się



olbrzymią, jej kontury zacierały się, wreszcie pozostał tylko obłok, w którym ostatni śmiech Grimmera rósł, potężniał i wstrząsnawszy ogromnym grzmiotem przestwory, zamilkł zupełnie.

Obłok był teraz jedynym przedmiotem, który posiadał jakieś kształty i granice. Wytężony wzrok dyrektora starał się nie stracić ani jednego ruchu, ani jednej zmiany, która się w tej stronie ujawniała. Karcił się niejako tym ostatnim kawałkiem życia i z rozpaczą dostrzegał, jak wypukłości i wklęsnięcia obłoku wyrównywały się, barwy obojętniały, obłok stawał się szarym, jednostajnym, wreszcie rozplynął się w próżni.

Dyrektor pozostał sam. Czuł, że ma możność lecieć dalej, gdzie chciał, leciał tedy rozglądając się za jakimś nowym ośrodkiem życia w tej martwocie ogólnej, która była zarazem wszystkim i niczem. Był jak ten rozbitek na morzu, który jeszcze raz wznosi głowę ponad fale, szukając okrętu, nim się na wieki w głębi zanurzy.

Wtem zabłysnął jakiś punkt świecący.

Była to może gwiazda. Około niej skupiły się wszystkie myśli dyrektora, a jedynym jego celem było teraz ująć tę gwiazdę, by wciąż patrzeć na nią i posiadaniem jej obronić się przeciw jakiejś nie-widzialnej sile, która się doń zbliżała.

Leciał z wyciągniętymi rękami, a lękał się okropnie, żeby jaki wicher lotu jego nie skrzywił. Ale obawa była płonna.

I miał już w ręku to, za czem goił, ten punkt świecący. Okazało się, że jest to złoty zegarek, zimny w dotknięciu, opatrzone sekundnikiem. Dyrektor prawie płakał z radości. Podniósł zegarek do góry, wywijał nim tryumfalnie, jakby się chciał przed kimś chwalić i krzyczał:

— Czas! czas!...

Teraz patrzył ciągle na cyferblat, rachując godziny. Każdy upłyniony kwadrans odczytywał na głos, pokazując go palcem.

Trwało to długo i dyrektor cieszył się bardzo z posiadania zegarka, który się stał prawie częścią jego własnej istoty, drugiem sercem. Przemyśliwał nad tem,



jak to on przerobi ten zegarek na wielki zegar, zawiesi go gdzieś tutaj i sam usiadłszy na końcu wahadła, będzie bujał po niebie tam i napowrót, jak dziecko w kołysce. Poruszanie się wskazówek, ich przejście przez cyfry godzinowe, stały się dlań ważniejszymi, niż wszystkie daty historyczne. Ufał zegarkowi, uwielbiał go, był jego kapłanem.

Nagle zegarek stanął. Dyrektor zadrżał i zaczął go nakręcać gorączkowo. Ale w pośpiechu i trwodze przekręcił sprężynę. Zegarek pękł, rozsypał się w ziarnka złociste, które gradem spadły w przepaść bezdenną i znikły!

Lecąc niby za niemi, uczuł nagle, że zaczyna uciekać.

Co za ogromne więzienie!

Coś, jakby wielka bania szklanna, otacza go. Trzeba mu w niej wybić otwór i odetchnąć!

A może już przybył? może to już tu?

Lecz nieubłagany głos jakiś zawołał:

— No, a co jest tam dalej?

A głos ten wychodzi z niego, z niego

samego, stanowi rdzeń jego istoty, nie można go usunąć nigdzie z wszechświata. Próżno dyrektor stara się go stłumić, tem wyraźniej słyszy to przenikliwe: »A co dalej?«

I głos ten pędzi go wciąż naprzód, naprzód, każe mu szukać celu, jakiegoś kamienia granicznego, a potem gdy już przyszedł, wyszydza go i znowu pędzi dalej, spaźniającego się zaś wlecze za sobą, jak koń rozszalały jeźdźca w strzemionach.

Ta szyba szklanna jakby razem z nim leciała, jakby z nim gdzieś daleko zrosnięta była. Zwiększał chyżość lotu, już już wyciągał rękę, a nie mógł jej dotknąć. Wreszcie ustał wyczerpany.

Przed nim była niezrozumiałość nieskończoności. Ażeby ją zniszczyć, trzeba mu było coś stworzyć i przeciwstawić.

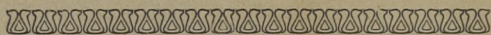
Niema wątpliwości: wpadł tu do tego jakiegoś świata, którego praw nie rozumiał i nie może się wydostać. Wszedł do jakiegoś Sezamu i zapomniał słowa. Trzeba mu się skryć, aby go nie dojrzano i przypominać sobie to słowo, to zakłęcie cza-



rowne, któreby mu wróciło jego ojczyznę. Prędkiej, prędkiej, nim go tu odkryją!

Ale daremnie rozpinał sieć swych myśli, nie mógł schwytać ojczyzstego słowa. A przecież czuł jego bliskość, ono mu się prawie kładło na duszę; czuł zapach, a nie widział kwiatu.

Wtem odkryto go. Te ściany, które dotychczas uciekały przed nim, zaczęły spieszyć ku niemu, jakby rzucały się na łup swój, chcąc go zgnieść zupełnie. Powoli tracił poczucie samego siebie. Czy jest ślepym? czy na około niego nic niema? Nie wiedział. Wołał w duszy o ratunek, ale nie mógł wydobyć głosu. Szukał teraz jakiegokolwiekbądź myśli, aby być z kimś, aby przerwać osamotnienie. Ale dusza jego była bezwładna. Czuł, że gdy nie pochwyci jakiejś myśli, nie wylegitymuje swego prawa do istnienia, to chyba rozplynie się w tej otchłani i stanie się jedną cząstką nicości, która go otaczała. Był jakby pod ogromnym tłokiem, który go zgniatał powoli a wytrwale, a nie było



ani w nim, ani poza nim żadnego środka ocalenia.

W tej strasznej męczarni zaczął jęczeć w tejże chwili pustka się skryształizowała: ponad nim błysnął sześcian, z kształtu i wielkości podobny do wnętrza pieca, ale to był jego własny pokój sypialny, w który jego dusza wracała.

Zbudził się. Leżał w swoim łóżku, ale nogi miał oparte o poduszkę. Drżąc z zimna i z irytacji poprawił swoje położenie.

Spostrzegł, że okno było jeszcze nie zamknięte. Wstał tedy i klnąc na czem świat stoi, zamknął je.

Dotykając po ciemku ręką ściany, znalazł dyrektor swój zegarek. Przypomniał sobie wtedy, że miał jakiś sen niespokojny, dręczący, w którym i zegarek odgrywał jakąś rolę. Pocisnął sprężynę i trzecia godzina wydzwoniła. Te dźwięki miłe i subtelne, jak krople płynu dziwnego, spadające w czarę metalową, uspokoiły go. I dyrektor usnął na nowo.

Obudził się późno. Czuł ból głowy i miał katar.



— Musiałem się przeziębic — rzekł do siebie — i to na sny wpłynęło.

Takie wytłómaczenie wystarczało mu zupełnie. Poza najbliższą przyczyną niczego już nie szukał.

Spotkawszy się nazajutrz z Grimmerem, nie przywitał się z nim, udał, że go nie widzi. Sam nie wiedział, dlaczego to robi. A Grimmer, ciesząc się z takiego rezultatu rozmowy, tym razem na przekór ukłonił mu się bardzo grzecznie.

Od tego czasu zgasła aureola uczoności Grimmera, jak to on sam przepowiedział. Zaczęto go sobie lekceważyć. Ale Grimmerowi dało to podstawę do tem głębszego pogardzania »splaknokami« — bo on sam był autorem odczytanej u Linka krytyki.

Pisane w październiku 1893.

## DYURNISTA.

Że nasz bohater nazywał się Stanisław Wyka, herbu Ślepowron, i był c. k. dyetaryuszem, o tem świadczył bilet przytwierdzony srebrnemi gwiazdkami do brudnych drzwi jego rezydencyi, które jednak niskością swoją zmusiłyby najdumniejszego księcia do uchylenia głowy, jeżeli nie do zdjęcia kapelusza. Pomimo tego biletu niejeden, który szuka pana Wyki, wszedłszy do kuchenki małej i biednej, cofnie się, mówiąc:

— E! to nie tu!...

Ale powinien żałować, że się dał odstraszyć baldachimem bielizny, suszącej się na sznurkach i nie zajrzał do przyległego pokoju, będącego zarazem sypialnią, jadalnią i salonem, bo byłby zobaczył doskonałą ilustracyę do dziejów nowo-



żytnego Robinsona, który uratowawszy z rozbicia majątkowego kilka wykwintnych gratów, urządza sobie nowe życie na jałowej wyspie. Przedewszystkiem zobaczyłby ogromne lustro wprawione w ścianę może po to, aby się mieszkańcom zdawało, że mają dwa pokoiki, nie jeden. Obrazy przedstawiające sceny z życia myśliwskiego zdają się wytwarzać wśród tych białych ścian atmosferę łąk i lasów. Pod piecem leży pies, który kilku szczęknięciami zaznaczy swoją czujność, wnet jednak włoży nos między przednie łapy, dumając może o dawnej świetności, kiedy to razem z panem strzelali kuropatwy, a nie bali się nawet i wilka. Pies to stary, legawy, ale teraz legawy chyba dlatego, że się wciąż wylegiwa na skórze dzika, bo polowanie robi już tylko na muchy, spacerujące mu po nosie, a lankastrówka jego pana, która napełniała dawniej hukiem bory i szuwały podolskie, wisi już od roku na ścianie obok kordelasa i innych przyborów myśliwskich. Na stole książki i rekwizyta szkolne poskładane w jedną

kupkę, jakby wiedząc o szczupłości mieszkania, wstydziły się, że tyle miejsca zajmują. Lampa całkiem wypalona, zakryta papierową umbrą, obok niej pończocha z wetkniętą igłą.

Staroświecki zegar ścienny pokazuje siódmą godzinę. Ale chłopak śpiący pod nim widzi już w lustrze tę fatalną siódemkę, mówiącą mu:

— Wstawaj!...

I ten zegar z wyszczerzonymi godzinami wydaje mu się podobnym do twarzy, jaką ma profesor greki w chwili, gdy mu chce dać dwójkę, a nie może. Chłopak żegna się, mówi pacierz, ubiera się zupełnie z wyjątkiem trzewików, któreby mogły skrzypieniem obudzić ojca. Z kuchni przychodzi matka i popieściwszy trochę syna, wypytuje go greckich słówek na jego własną prośbę. Chłopak umiał doskonale, pomimo tego matce zdawało się, że doskonale, to jeszcze nie dosyć.

Pół do ósmej, na szkołarza już czas.

— Czyś nie zapomniał czego?

I jeszcze na progu upominała go, żeby



nie dostał dwójki, uważał, nie swawolił, co chłopaka trochę gniewało.

Śpiący na łóżku jegomość nie dawał znaku życia, chociaż wiedział, że kawa jego dymiła już na stole. Gołe nogi wystawił poza kołdrę, drzemiąc w najlepsze. Wreszcie zapytał:

— A która tam godzina?

— Już trzy kwadransy.

Ale dyurnista usypiał i śniło mu się, że wstaje, patrzy na zegar, widzi, że dopiero pół do ósmej i kładzie się znowu spać. Żona bała się budzić go energicznie, ale miała swój sposób. Wzięła z pod pieca biedne psisko, opierające się ze wszystkich sił, przyciągnęła je za przednie łapy do łóżka i oparłszy te łapy o krawędź łóżka, cofnęła się. Skutek był cudowny: pies zaczął pilnie lizać twarz swego pana i wylizał go ze snu.

Wtedy pan Stanisław Wyka, herbu Ślepowron, zaprodukował swój niepatentowany jeszcze sposób wstawiania. Zamknął oczy, skurczył się jak sprężyna, a potem jakby go sto pcheł nagle ukąsiło, wypadł,

a raczej został wystrzelony z łóżka niby z armaty na sam środek pokoju.

— Znając mnie, powinnaś mówić zawsze dalszą godzinę, niż ta, która jest w istocie.

Zaczął się ubierać na gwałt, co miało ten skutek, że o mało nie zamaczał w kawie pończochy zamiast kajzerki i nie wdział spodni syna zamiast swego surduta. Uporawszy się jako tako z tualetą, był już gotów do wyjścia, gdy naraz zobaczył na stole nieprzepisane jeszcze »kawałki« biurowe, opatrzone u góry złowrogimi napisami: »zaraz«, »natychmiast«, »*statim*«. I zdawało mu się, że te obrzydliwe kawałki papieru krzyczą na niego: natychmiast! *statim!* jakby miały za chwilę dostać nogi i gdzieś uciekać.

— Czemuś tego nie przepisała? widziałas przecie, że nie mam czasu — rzekł do żony.

— Nie wiedziałam, że chcesz.

— Mam-że wam zawsze wszystko mówić? Powinnaś się domyślić, że cię prosić nie będę, i jakoś mi to ułatwić. Jest się biednym, ale niech się będzie biednym



tylko pod względem pieniędzy, nie honoru. Okradziono mnie, wydarło mi majątek, ale tej starej szlacheckiej buty, tej mi nikt nie wydrze.

Pokrywszy w ten sposób łajaniem wyrzuty sumienia, wybiegł z domu.

— Ej! co tam buta, buta! — mruzczała za nim żona — kiedy butów niema za co kupić.

I patrzyła na drzwi, którymi wyszedł, rychło znowu skrzypną. Krzątając się prawie cały dzień w kuchni, nauczyła się rozpoznawać subtelne odcienie tych skrzypnięć. Zwyczajnie skrzypnięcie było szydercze, jakby się te drzwi cieszyły z nie-szczęścia, które wpuszczały. Więc wnioskowowała:

— Teraz wejdzie listonosz, ale nie przyniesie mi pieniędzy, tylko list od mojej córki, nauczycielki wiejskiej. Co mi też moje biedne dziewczątko napisze? Zapewne znowu, że wszystko jej idzie jak z płatka, że się czuje zdrowszą, napisze, aby mnie łudzić.

To znowu lekkie, etykietalne puknięcie

do drzwi, ale jednego z tych ludzi, którzy nie oczekują na zaproszenie: »proszę wejść!« lecz sami wchodzą bez ceremonii i zostawiają drzwi na oścież otwarte. To gospodarz domu przychodzi się upominać o czynsz zaległy, a wiedząc z góry, że ja odpowiem:

— Proszę jeszcze trochę poczekać!... zacznie się rozglądać po kuchni i po pokoju, przeznaczając w myśli ten lub ów sprzęt na zagrabienie. Albo ktoś pocisnął za klamkę i starając się sprawić jak najmniej hałasu, otwiera drzwi pomaleńku i tylko do tyła, że może już wsunąć siwą brodę i rękę, w której trzyma kij i wyszarganą czapkę.

— Hektor, nie szczerkaj, to ubogi, który przecież nie może wiedzieć, że ostatni kawałek chleba włożyłam naszemu studentowi do płaszcza.

Za to po pierwszej godzinie, gdy jej syn wracał ze szkoły, otwierały się drzwi z tryumfującym trzaskiem: student wchodził, rzucał czapkę pod sufit, łapał ją i krzyczał:



— Dostałem dzisiaj trójkę, trójkę!

Wtedy matka wiedząc, że to było celującą, zaczynała prędko przyrządzać coś nowego koło kotła, zapewne jakiś specyał extra.

Lecz daleko było jeszcze do pierwszej godziny. Westchnęła i weszła do pokoju ze szczotką, bo było to jej zwyczajem »czesać« (tak mówiła) najprzód pokój, a potem siebie. Pies machnął leniwo ogonem i nie ruszał się z miejsca. Ścierała prochy, wglądając w każdą szparkę, ale wielkiej brązowej lampy (stojącej tylko dla efektu na komodzie, bo nigdy nie zapalanej) nie dotykała dzisiaj, był to bowiem poniedziałek, więc bała się stłuc przypadkiem piękną umbrę, przedstawiającą kulę ziemską, tę kulę, na której i oni posiadali dawniej swoich 150 morgów. Ha! ale inaczej chciała mądrość boska a głupota mężowska!

Rzuciła okiem na gazetę pożyczoną od sąsiadów i jedno ogłoszenie zwróciło na siebie jej uwagę: jakiś pan chciał kupić psa legawego, dobrze wytresowanego.

Złożyła więc gazetę na stoliku w ten sposób, aby mąż wróciwszy, musiał anons przeczytać; sama nie miała odwagi mówić mu o tem. W tej chwili dotknęło coś jej kolan: był to pysk Hektora, który jej aportował zostawioną w kuchni chusteczkę od nosa.

Tak oczekiwała żona dyurnisty posługaczki, z którą miała wyjść do miasta na zakupno.

Małżonkowi jej tymczasem musiało być bardzo spieszno, bo szedł szeroką, ludną ulicą, a nie okrążał jej, jak to zwykle czynił, bojąc się spotkać z dawnymi znajomymi, którzyby go mogli zapytać:

— Czemu to pan już teraz nie przychodzi do naszej kawiarenki na wista, panie Wyka?...

Biła ósma godzina, a pan Wyka zły, że nie może z ostatniem uderzeniem zegara postawić stopy w progu budynku, do którego dążył. Za to pośpiech ten uwalniał go od niektórych czynności, które zwykle za obowiązkowe uważał: naprzykład nie potrzebował kupować śliwek u przekupki, z których pewną część



dawał żebrakowi za to, że go tytułował »jaśnie panem« z taką samą unізonością, jak każdego innego człowieka, ubranego w porządniejszy oberok.

W sieni wielkiego gmachu, w którym miał dyurnum, natrafił na zbiegowisko i nim się przecisnął, upłynęło sporo czasu, bo przecież musiał wymiarkować, na co się ten motłoch tak gapi, a był za dumny, aby pytać o to portyera, człowieka, który widocznie nie wiedział o tem, że złoto w lamówkach jego niebieskiego płaszcza nie jest prawdziwem. W środku zbiegowiska stał policyant i szamotał się z jakimś pijanem indywiduum, które objąwszy rękami jeden z wielkich filarów marmurowych, stojących w sieni, udawało Samsona i byłoby może cały gmach zawaliło, gdyby czujny stróż bezpieczeństwa publicznego w sam czas temu nie przeszkodził. Podczas gdy mniemany anarchista naprzemian, to kłął, to śpiewał hymn państwowy i całował policyanta, pan Wyka z miną opanowującego sytuację rozjemcy odwoływał się do obywatelskich

uczuc policyanta i radził mu puścić wolno »tego biedaka«, — aż uprzytomniwszy sobie, ile czasu poszło na tę obywatelską interwencyę, wyrwał się z tłumu i pobiegł na górę, skacząc po schodach, — zwalniając jednak natychmiast krok w poważne tempo, ilekroć kogo zobaczył. Wreszcie przybył do drzwi, nad którymi była tablica: »Expedyt. Wstęp obcym wzbroniony«. Pan Wyka uśmiechnął się, bo on nie należał do tych obcych, on nawet nazywał eufemicznie ten »expedyt« »swojem biurzem« i wchodził doń z takim namaszczeniem, tak trzymał jedną rękę w kieszeni a drugą pociskał klamkę, jakby był radcą w VII randze z pięcioma już kwinkwenniami.

Była to wielka sala, mieszcząca w sobie około trzydzieści stolików. Nad każdym stolikiem pochylony był grzbiet, do grzbietu przytwierdzona była ręka, do ręki pióro i to pióro coś ciągle pisało. Taki grzbiet nazywa się dyurnistą.

Od stołu do stołu kręcił się oficyał, rozdając dyurnistom »kawałki« do prze-



pisywania. Bo te wszystkie stoliki razem przedstawiały młocarnię: z jednej strony pchano do niej bruliony i czyste arkusze papieru, a po drugiej stronie wylatywały przepisane już na czysto sprawozdania, rezolucye, dekrety i nakazy, gotowe do podpisu »wyższej ręki«. Ale ta młocarnia była dopiero częścią ogromnej maszyny rządowej, żadnej zgniecienia każdego, kto nie chce się stać jednym z jej kółek.

Wyka usiadł przy swoim stoliku i po-  
dał rękę sąsiadowi, byłemu leśniczemu,  
innym nie rzucił nawet »dzień dobry«. Natychmiast przyleciał oficyał, krzepki staruszek z białymi włosami i białą brodą, z roztargnionemi, ciągle czemś zajętemi oczami. Stał przed dyurnistą, zacierał ręce, jakby się namyślał, co powiedzieć, po chwili zapytał:

— Panie Wyka, która tam godzina?

Wyka uczynił ruch ku lewej stronie kamizelki i odrzekł z cudowną obojętnością:

— Służę, ósma.

— Ładnie, ładnie... posuń pan sobie

zegarek o kwadrans naprzód. Tu panie u nas robota czekać nie może.

Wtem zobaczył na stoliku Wyki cwe natychmiastowe kawałki, chwycił je jak złodziej i chciał uciec do swego pokoju. A gdy go Wyka powstrzymał i prosił o zwrot papierów, oficyał stał się nagle tak czerwonym, jak wyłogi, które miał na kołnierzu.

— Jakto, jeszcze nie skończone? Co pan sobie myśli? Panie Fritz, weź pan, przepisz pan te kawałki. A panu dam coś innego.

Skonfundowany Wyka wrócił do swego stołu.

Właściwie nie powinien być skonfundowany. On, dawny... ten tego... schował ręce do kieszeni, pióro w zęby panie dobrodzieju, i czekał na oficyała.

A przecież irytowało go tu niejedno.

Najprzód ten stolik. Dlaczego nie jest to stolik z baryerkami, taki, jaki ma tylu innych piszących tu dyurnistów? Dlaczego nie dano mu stolika z szufladą, zamykaną na osobny klucz, tak jak temu lub tamtemu?



Mógłby zawsze, wychodząc z biura, szufladkę zamykać i chować klucz do kieszeni. To musi być bardzo przyjemnie wychodząc z biura chować kluczyk do kieszeni. Ale oczywista, chciano go upokorzyć, lecz on ma ambycję i nie da się.

Oficyał rzucił mu na stół kilka »kawałków«.

— Przepiszesz pan to!

— Hm... przepiszesz pan — mruczał pod nosem pan Wyka, ścigając oficyała wzrokiem, któremu nadał wyraz oburzenia i pogardy. Gniewało go połączenie rzeczownika »pan« z drugą osobą liczby pojedynczej, zdaniem jego gburowate, a co więcej niegrammatyczne i niezgodne z duchem grzecznego języka polskiego. Wreszcie zaczął pracować. Długo męczył się z krzesłem, zanim utworzyło prawidłowy kąt z krawędzią stołu. Potem zapisał sobie liczby nowych »kawałków« na osobnym arkuszu, mającym u góry napis: *Pro domo*. Był to bezpotrzebny wynalazek pana Wyki. Ale Napoleon na wyspie św. Heleny wynajdywał pasyanse, a pan Wyka

wynalazł sobie, rzekomo dla ewentualnego ułatwienia ewidencji oficyałowi, taki wykaz: *pro domo*, w którym znajdowały się tak imponujące cyfry, jak 31899, 39745, 43498 albo nawet 48576! Gdy się takie cyfry podpisywało jedną pod drugą, tworzyły rodzaj kolumny, dającej wyobrażenie o sumie mozołu, użytego na przepisanie odnośnych »kawałków«, lecz jakże nieproporcjonalnie wielkiego w stosunku do dziennej zapłaty.

Dlaczego nie dał mu oficyał do przepisania »kawałków« trudniejszych, któreby wymagały większej inteligencji przepisującego? Naprzykład, »kawałków« niemieckich, bo który tu z tej hołoty umie po niemiecku tak dobrze, jak on? Albo »kawałków«, wymagających pięknego pisma, naprzykład dekretów i mianowań? Musiał to sobie sam przyznać, że pisał bardzo kaligraficznie (ma jeszcze dotychczas u siebie w domu księgi gospodarskie, na których tytuły własnoręcznie wypisał). Wprawdzie oficyał mówi, że pan Wyka bezpotrzebnie czas traci na »sztychowaniu«,



ale mówi tak z zazdrości, a zresztą — przecież zwrócił na to uwagę! Szczególnie te inicjały z zakrętami tak regularnymi, jakby były cyrklem wykreślone. Napróżno jednak odsuwał przepisane arkusze na lewą krawędź stołu; jego sąsiad, stary potulny leśniczy, nie patrzył w tę stronę. A powinienby popatrzeć, jak to się ładnie pisze, bo sam »babrze, jak kura łabą«.

Koledzy »po piórze« nie lubią go, po cichu nawet nazywają go sobie tam jakoś. Ba, to dlatego, że mają respekt przed nim. Szczególnie ten młody błazenkowaty rozpustnik, Fritz, i jego godny sąsiad, a *socius bibendi* Neumajer. Teraz, naprzykład, dopuszczają się następującej nędznej gry słów:

— Ty, Neumajer, jak się tam u ciebie wyka udała?

— Nie szczególnie; za to groch, powiadam ci paradny, a kapusta — cacana.

Albo nieraz, gdy zjawił się w drzwiach, mówili:

— Panie Kunz, przyszedł pan Fika, *Herr Fika*, *Herr Figa!*...

Pokrzywiali się tym sposobem innemu koledze, staremu Kunzowi, szwabowi, który nie rozumiał ani słowa po polsku. Był to pensyonowany oficer, któremu na starość nudziło się w domu, więc dyurnował dla rozrywki, zwłaszcza, że mu liczbę godzin zmniejszono przez protekcję do połowy. Dyurniści oburzali się, mówiąc, że zabiera chleb innym głodniejszym, a mającym więcej zębów. Była to ciekawa figura. Na szerokim tułowiu osadzona zwiędła głowa ze spiczastym wielkim nosem przypominała kruka, który usiadł na chłopskich wrotach, tem bardziej, że głos Kunza podobny był do krakania. Pan Wyka jednak przestawał z Kunzem, bo mógł z nim rozmawiać ostentacyjnie po niemiecku.

— *Wie gehts, Herr Kunz?*

— *Dank' schön, Herr Fika!* — i zachar-kawszy głośno, splunął.

Za to Fritz i Neumajer pastwili się nad Kunzem, rozweselając sąsiadów.

— Ty, Neumajer, czy ty nie uważasz, że ten Kunz odmłodził tu w ekspedycje?



— Co ty mówisz?

— Przysięgam Bogu! obciera ciągle »zatrampencone« pióro we włosy, aż »zbruneciał«.

Tak się działo nietylko z Kunzem, bo i innych także »brali na bas«.

Obok nich siedział stary poczwiiec, pan Krupka, który co dwie godziny wyjmował książeczkę do modlenia i modlił się żarliwie.

— Neumajer, nie śmiej się, bo Krupka modli się za twoje grzechy.

— Załóż się, że czyta modlitwy młodzieńca.

— E! to powaga, bij się w piersi przed nim.

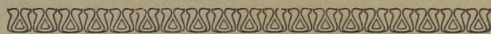
— Ale za to jakże my będziemy pili, gdy Krupka dostanie zapomogę!

— Ale gdy Kunz dostanie zapomogę?

— Chi... chi... chi!... no to będziemy dwa razy pili.

Przyleciał oficyał.

— Panie Krupka, tu nie kościół, schowaj pan książkę i przepis najprzód ten maleńki indorsacik.



— Biedna Krupka, wymodliła sobie indorsacik...

Fritz siedział przy oknie i bawił się jego zamykaniem i odmykaniem, sprawując w ten sposób obowiązki liweranta świeżego powietrza. Obowiązek ten jednak powinien być poruczony komu innemu — tak myślał pan Wyka — komuś starszemu, poważniejszemu. Fritz — to błazen i ma z powodu okna ciągłe sprzeczki z panem Kunzem, który jest na zmianę powietrza wrażliwy jak kolano podagrzysty.

Tym razem okno było otwarte, świeże powietrze napływało, wypierając dawne zepsute, pełne miazmatów, i orzeźwiało płuca trzydziestu robotników.

Działało to na nich, niby kąpiel; wielu przestało pisać, powstali i spoglądając w okno, wyciągali zdrętwiałe ramiona, chłonąc pełną piersią powietrze, przyczem jednak oddech brzmiał często jak westchnienie. Na dworze świergotały wróble i turkotały wozy.

Fritz miał jedną nawyczkę, która szkaradną i śmieszłą wydawała się panu Wyce.



Oto pluł przez okno i dopiero potem patrzył w dół, czy kogo nie opluł.

— Ej, Fritz! — upominał Neumajer — oplujesz kogo.

Fritz stał już przy oknie.

— Ha, ha! popatrz-no, Neumajer.

— Co tam?

— Jabłoński stoi pod gmachem i podpiera go, aby się nie zawalił.

— Biedne chłopczysko! A to się strąbił! Ale pisał bardzo dobrze. Takich to napędzają, a przyjmują darmożjadów.

— A on z rozpaczony »dał sobie na piec«!

W tej chwili zakrakał pan Kunz:

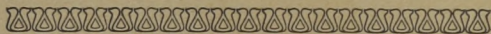
— *Sie Fritz! Es ist hier zu frisch! Schliessen Sie das Fenster dort!*

I wyciągnął ku niemu rozkazująco rękę, w której na szczęście trzymał nie rewolwer, lecz zwykłe pióro.

Fritz zamknął okno, mruczając pod nosem:

— *Schliessen Sie das Maul dort!*

Ale Kunz postłyszał, wściekłością zadyszał, zerwał się i z niezapaloną jeszcze fajką poszedł do oficynała na skargę. Oficynał do Fritza:



— Panie Fritz! panie Fritz!...

I rozkładał rękami, jakby się kłaniał Fritzowi, nie mogąc sklecić żadnej dosadnej pogroźki. Fritz patrzył na oficyała takim wzrokiem, jakby to on był oficyałem, a oficyał dyurnistą. W teje jednak chwili weszło kilku woźnych, niosąc świeże pliki papierów, co tak poprawiło humor oficyała, że nie dokończywszy frazesu, poskoczył ku woźnym, aby im ulżyć ciężaru.

— Pocziwy oficyał, nawet beszać nie umie!...

— Ale jaki służbisty! Mało nie ucałuje aktów! Ideał urzędnika. Patrz, jak lata.

— Słuchaj-no Fritz, jest ważna sprawa. Powiedz Krupce, że jutro pójdziesz do spowiedzi i naciągnij go na kilka białów. Pójdziemy jeszcze dzisiaj do Julki, bo nudzi mi się w domu szalenie.

— Jaki z ciebie batjar, Neumajer!

— Hej, hej, choć bieda, to hoc!

W tej chwili Kunz charknął okropnie.

— A to Harkules dopiero! — rzekł Neumajer. A Fritz udał, że spada z krzesła i krzyczał:



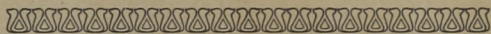
— Panie oficjale! panie oficjale! Niech pan oficjał ratuje! Tu nam Kunz zacharka cały ekspedyt!

Te niepoważne żarty oburzały pana Wykę do żywego. Aby pocieszyć Kunza, podszedł do niego i rozpalając o jego fajkę swoje cygaro, składał mu kondolencyę:

— *Diese unverbesserlichen Schufte, Herr Kunz!*

Wnet przyleciał oficjał i dał Fritzowi i Neumajerowi cały stos przepisanych »kawalków« do kolacyonowania. Fritz czytał, Neumajer patrzył do brulionu i sprawdzali w ten sposób, czy dyurnista nie zrobił jakiego błędu, co się często zdarzało. Aby sobie uprzyjemnić to jednostajne zajęcie, modulował Fritz swój głos rozmaicie i stosownie do treści krzyczał, groził, prosił, a nawet płakał.

— To musi być bardzo przyjemnie kolacyonować — myślał pan Wyka. — Ale te błazny wyśmiewają to zajęcie i niejedno prześlepią. Kolacyonowanie powinno być powierzone człowiekowi, któremu



uciążliwe pisanie może zaszkodzić, ale za to inteligentnemu i poważnemu. Ale ta hołota, która może wie, że on był dawniej ho... ho... ho... mści się nad nim, jak osły nad chorym lwem. On zaś zamiast sprawować szlachetny obowiązek kolacyonowania, musi pisać jak wół, i to naprzykład, jak teraz oto, przychylną odpowiedź na podanie swego ongiś sąsiada, pana Pomeranza, który przykupiwszy sobie z czasem jeszcze więcej ziemi, zapragnął się nazywać Pomorzańskim. Patrzcie-no! taki pan Pomeranz, herbu Cebula! może mu się zdaje, że jego przodkowie przyszli z Pomorza?

Instynktowny antisemityzm wybuchnął na chwilę w piersi pana Wyki; odrzucił na bok niedokończoną odpowiedź dla pana Pomeranza i wziął się do przepisywania innego »kawałka«, co go zaraz uspokoiło. Snuł więc dalej tę wątlą nic ambicyi, którą mu dostarczały drobiazgowo podrażnienia chwili obecnej.

Był naprzykład zły na swego sąsiada leśniczego, który go nigdy nie zapyta



o radę, gdy nie potrafi przeczytać brulionu, a leci natychmiast do Fritza lub Neumajera! Przecież i on, Wyka, potrafi czytać nieczytelne pisma referentów. Leśniczy jednak wynagradza mu dostatecznie tę krzywdę, opowiadając mu o hułatykach i orgiach Fritza i Neumajera. Wyka kiwa głową na znak, że się wcale nie dziwi.

— Łotry, panie, takich, to nawet bieda nie nauczy przyzwoitości!...

Wzajemnie znowu opowiada on leśniczemu swoje polowania na dziki:

— Mówię panu, siedzę w lesie, palec na cynglu i widzę — dzik, panie dobrodzieju...

W tej chwili Fritz zaczął czytać:

— *An den k. u. k. Commando...* Hej, a kto tu napisał: *den Commando*?

Oficyał był blisko i przybiegł do Fritza:

— A, to pan Wyka! zaraz musi całe przepisać. To idzie do wojskowej władzy, to nie można tak... Jaktó, pan nie wiesz, że *Commando* jest *das*, a nie *der*?

— Ach, pomyliłem się! Doprawdy, nie

mogę sobie wytłómaczyć, jak mogłem coś podobnego napisać. I że to się przytrafiło właśnie komuś, co mówi po niemiecku, jak rodowity Niemiec! Ale to nic nie szkodzi, natychmiast przepiszę!

Pomimo tego dyurniści, zadowoleni takim *intermezzo*, przestali pisać, śmiali się i kręcili głowami. Nawet spokojny pan Krupka przybiegł, nałożył na nos okulary, wziął inkryminowany papier i wpatrując się uparcie w nieszczęsne »den«, to zbliżał oczy do papieru, to oddalał i mówił do siebie:

— Hm! jest *den... den... den...*

A Fritz zrobił przy tej sposobności taką uwagę ogólnej natury:

— Zapamiętaj sobie Neumajer: koń, który dawniej w karecie chodził, na starość w pługu harować musi. A teraz... wio!

I kolacyonowali dalej, dyurniści zaczęli pisać, pióra skrzypiały, Kunz charkał i maszyna była w ruchu. Wtem wszedł znowu oficyał, prowadząc z sobą jakiegoś elegancko ubranego jegomościa.



— Chodź pan! chodź pan! tu jest gdzieś u nas to, czego pan szukasz.

Pan Wyka podniósł głowę, ale natychmiast niby upuścił pióro i pod pozorem szukania go schylił się pod stół. Poznał Pomeranza. W czasie pobytu pod stołem obserwował dolną połowę osoby Pomeranza, widział jego spodnie najnowsze kroju, meszty obcisłe, i hebanową laseczkę. Gdy wreszcie Pomeranz zniknął w pokoju oficyała, Wyka odetchnął, usiadł i pisał dalej, nadśłuchując uważnie.

Oficyał ukazał się w drzwiach.

— Podanie pańskie jest tu na sali. Który z panów ma numer 48576?

Nikt się nie odzywał. Któżby tam mógł pamiętać numery wszystkich »kawałków«, które mu codzień przejdą przez ręce. Pamiętał tylko pan Wyka, dzięki swemu wykazowi: *pro domo*, lecz ze strachu i wstydu nie mógł się zdecydować na zgłoszenie się.

— Zaraz panu powiem — rzekł oficyał do gościa — zajrzę tylko do mego katalogu. Proszę ze mną.

Wyka zadrzał, wziął czapkę, przeszedłszy prędko przez salę, zabrał kluczyk wiszący na gwoździu drzwi wchodowych i wyniósł się z expedytu.

W tej chwili wrócił oficyał z Pomeranżem.

— Mamy go! jest u pana Wyki. Gdzież jest pan Wyka?

— Zaraz przyjdzie — odpowiedzieli dyurniści.

— Ach! jeszcze nieprzepisane! — rzekł oficyał, przewertowawszy papiery nieobecnego dyurnisty. — Niech pan będzie łaskaw siadać i chwilkę poczekać! — dodał, przysuwając Pomeranżowi krzesło do stołu pana Wyki.

I podczas gdy protoplasta przyszłego rodu Pomorzańskich hreczkosiejów czekał i czekał, ten, który miał być ostatnią chociaż tylko mechaniczną instancją owej przemiany, ten, który swoim piórem i atramentem miał породzić wreszcie owo upragnione »ski«, po które pan Pomeranż sam się fatygował aż do expedytu —



jednym słowem pan Wyka, w pewnem odległym ustroniu oddawał się ponurym rozmyślaniom na temat:

*O jerum, jerum, jerum, rum,  
Qualis mutatio rerum rum!...*

Pisane w styczniu 1894.

## WIELKI JEŹDZIEC.

Długa, długa była noc i sny w niej okropne. Zbudził się wreszcie z radosnym okrzykiem. Ale ręce jego były jeszcze skrępowane, a ciało nagie. Spojrzał naokoło.

Pod palmą siedział szejk, pan jego, fajkę paląc, i gładził ręką złote włosy swojej córki, która mu koran czytała.

— Zulimo — mówił — zapominam o myślach koranu, patrząc na ciebie, ale wierzę prawie, że mi je twój widok znowu powraca.

Opodal pały się konie szejka, a w powietrzu krążył orzeł.

Leżący na ziemi człowiek usiłował powstać, lecz uczuł powróż na szyi. Był przywiązany do pnia jednej z palm, która nań cień rzucała.



Usłyszał szmer strumyka. Odwrócił głowę i ujrzał go tuż przy sobie. Chciał ręce weń włożyć, ale ręce były skrępowane. Chciał głowę zgnać i napić się wody, wtem go coś szarpnęło. Szyderczy śmiech szejka obił mu się o uszy, a Zulima rzuciła nań kamieniem.

Raptem przypomniał coś sobie. Chwytał powróż w zęby i rozerwał go, naprężył muszkuły i pękły sznury na rękach.

Zdziwiony szejk zawołał na niego surowo. On tedy powstał i wyprostował się, nagi, groźny i silny. Pięści zacisnął, a były jeszcze owinięte sznurami, których poszarpane końce zwisały.

Widząc to szejk, rzucił się na niewolnika. Obaj upadli na ziemię, szamotając się z sobą. Córka pobiegła do jednego z koni, aby dostać skryty w drogocennej oprawie siodła jatagan. Prędzej jednak niż błyskawica, pokonał niewolnik szejka, zarzucił mu swój powróż na szyję i dusił go.

Gdy jeszcze szejk harczał konając, chciała Zulima cicho jak wąż zbliżywszy

się, ugodzić w plecy zwycięzcę. Ale sztylet, słabą ręką skierowany, zwinął się po twardej, brudnej skórze niewolnika, czerwona smuga krwi za sobą ciągnąc, napadnięty zaś chwycił rękę Zulimy i ścisnął tak gwałtownie, że broń mordercza brzęcząc na ziemię upadła.

Tak stał, jej podniesioną rękę w swojej dłoni trzymając. I spostrzegł jej włosy złote, bujne, a nie mogąc pojąć, dlaczego to tak świeci, chciał bliżej zobaczyć. Zapytał o coś chciał, ale Zulima odwróciła głowę ze wstrętem, a po chwili spojrzawszy znów na niego z wyrazem nieopisanej pogardy, napluła mu w oczy.

Tedy niewolnik otarł ślinę jej włosami, a naciskając dłonią, zgiął jej ciało, póki nie upadła głową na pierś ojca. Rzucił się na nią, by ją również udusić, objął ją ramionami, tłocząc całym ciałem. Pierś jej falowała, nie mogąc chwycić tchu pod przygniatającym ciężarem, oczy zawróciły się aż po białka w śmiertelnej trwodze. Naraz uczuł morderca, jak z ciała dziewicy przechodzi w niego całego jakaś



dziwna rozkosz i słodycz, która coraz więcej rosta i potężniała. Wydając z siebie krzyk bezdźwięczny, głuchy a przeciągły, oplatał dotykające go ciało, gwałtownie je miażdżąc, jakby je chciał w sobie pograżyć, a sam drżał z upojenia. Głowa Zulimy opadła martwa, lecz morderca jej nie wiedział, że to śmierć. Zamknął oczy, jego uścisk wolniał, ustępując miejsca chwilowemu oszołomieniu.

Wtem zatrzepotało coś nad nim skrzydłami. Był to orzeł. Kilka sępów siedziało zdala, bojąc się jeszcze przystąpić. Morderca zerwał się i spojrzał znowu naokoło. Zobaczył strumyk i nachylił się nad nim. Jakiś człowiek był tam na spodzie. Nachylił się tedy zupełnie, a gdy ustami dotknął wody, miły chłód musnął mu wargi. Zaczął pić chciwie wodę i pił długo.

Kiedy się podniósł, ujrzał jakiegoś konia. Koń także pił wodę, a potem rżał radośnie. Był objuczony; człowiek tedy zdjął z niego juki i patrzył, co zawierają. W jednej sakwie znalazł trochę chleba i ryżu, którymi głód zaspokoił, w drugiej

złote i srebrne monety, które uważał za kamyczki. Postanowił je wziąć z sobą i już chciał juki przyczepić do siodła, gdy wtem trącił stopami o trupa Zulimy. Ujrzał znowu te dziwne, złote włosy, które tak błyszczały, i podjąwszy z ziemi jatagan, jednym cięciem oddzielił głowę od kadłuba i wrzucił ją do próżnej sakwy. Wtem kadłub zsunął się z piersi szejka, więc wyzwolony, zgrzytając zębami, ułożył go znowu na dawne miejsce i wbijając jatagan w piersi obu trupów, spoił je na zawsze razem. Naokoło była kałuża krwi. Wyzwolony maczał w niej ręce i rozmażywał krew po całym swoim ciele. Cieszyła go ta czerwoność. Podjął koran, usiadł i przewracał karty, nie zważając na to, że na każdej zostawia krwawy ślad. Wnet jednak odrzucił precz książkę, bo nie wiedział, co to jest, wsiadł na konia, zdjawszy zeń siodło, którego przeznaczenia nie rozumiał, i puścił się galopem, nie oglądając się za miejscem, gdzie orły i sępy ścierwem się dzieliły.

Długo tak jechał, aż przybył na jakąś



rozległą równinę. Tu dał spocząć koniowi i sam zrywał dla niego liście palmowe. Wtem usłyszał tętent kopyt końskich. Nadjechał jakiś jeździec, pochylony nad koniem, i nie patrząc na niego, galopował dalej. Wkrótce nadjechał nowy jeździec, za nim trzeci, czwarty, piąty i wnet znikli mu z oczu.

Ciekaw, kim są ci jeźdźcy, siadł na koń i popędził za nimi. Po drodze jednak spotkał kilku z nich wracających z okrzykami najwyższej trwogi i rozpacz. Pomimo tego jechał dalej, nikogo już nie spotykając, aż przyjechał nad brzeg jakiejś ogromnej przepaści. Koń jego wzdrygnął się i stanął dębem.

Na spodzie przepaści, który zaledwie dojrzeć można było, czerniały trupy końskie i ludzkie, pomieszane w okropnym bezładzie. Konie wbite na iglice skał, turbany wszędzie porozrzucane, na ścianach przepaści aż biało od rozbryzanych mózgów ludzkich.

Człowiek patrzący w głąb zadrzał. Uczuł bliskość śmierci. Zadrzał i chciał

się cofnąć. Wtem daleko, na przeciwnym brzegu, ujrzał coś cudownego. Był to kwiat tylko, ale podobny do gwiazdy, dumny swą niedostępnością.

Człowiek wzniósł dziki okrzyk, nabrał rozpędu, dał znak koniowi, a ten odgadując myśl swego pana, leciał jak wiatr i nie zatrzymując się zarżał głośno i skoczył na drugą stronę.

Tu zerwał człowiek ów kwiat dziwny i jechał dalej.

Słońce już zeszło z południa i palmy rzucały długie, zapraszające cień na trawniki. Dał tedy koniowi spoczynek, a sam posilał się daktylami, które wiatr obficie strząsał. Szukając ich jednak, zobaczył jakiegoś człowieka, który stał pod palmami. Był to starzec z długą, siwą brodą, on to, a nie wiatr, strząsał daktyle z drzew.

Człowiek schwytał starca, a widząc, że jest słaby i wynędzniały, podał mu garść daktyli. Ale starzec uśmiechnął się i rzekł:

— Nie, tego nie wezmę. Ale daj mi ten kwiat gwiazdzisty, który masz w ręku.



Człowiek spojrział zdziwiony. Ale starzec ukląkł i wołał błagalnym głosem:

— Daj mi ten kwiat, daj mi ten kwiat. Jestem nieśmiertelnym, życie jest mi ciężarem. To jest kwiat mojej śmierci. Ty jesteś dobrym. Daj mi go i pozwól mi umrzeć za ciebie.

Na pół dobrowolnie, na pół przymuszony oddał człowiek kwiat, który w ręku starca dziwne kształty przybierał, wydłużał się, rósł, wystrzelił w mnóstwo łodyg, które jak węże wyprężając się, owijały ciało starca, na każdej łodydze zakwitał nowy kwiat, który otwartym kielichem bił raz po raz o jego ciało, roztrzaskując wyziew zatruty. Po kilku chwilach skonał starzec z uśmiechem na ustach, ostatnim ruchem ręki wskazując jeźdźcowi na zachód.

Jeździec poszedł w tym kierunku i natotkał na grób, oddawna już przygotowany. Tu złożył ciało i zgarnął na nie rękami wysypaną na brzegach grobu ziemię. Uczyniwszy to, powstał natychmiast z niecierpliwością, której nie pojmował.

I jego koń grzebał nogą niecierpliwie, kładąc głowę na ramieniu pana.

Nagi jeździec wskoczył na rumaka i pognął z wiatrem w zawody. Oddalając się od grobu, czuł, że rośnie i że w ciało napływa mu moc nieprzeparta. Tak chciał pędzić, choćby na koniec świata. Było w nim coś ze strumienia górskiego, który na łeb ku wodospadowi leci, zębami drogę sobie wygryza, a nie cofa się nigdy. Myśl u niego była siłą, a siła była myślą. Czuł, że może, co zechce. A koń pod nim był jakby częścią jego, byli obaj prawie jednym ciałem, jedną wolą, jedną myślą i jedną siłą.

Wjechał w las jakiś, gdzie były dzikie zwierzęta. Lwy, tygrysy wypadły z gąszczów, chcąc rozszarpać tego, co się wdarł w ich państwo. Ale zobaczywszy go — drża i skomląc uciekają daleko.

Przybył znowu na jakąś równinę, gdzie dwa wojska ze sobą walczyły. Jeden z rycerzy zamierzył się nań mieczem, ale jeździec skoczył na rycerza swoim koniem i roztratował go na ścierwo. Zabitemu wyrwał



miecz z dłoni i rąbiąc naokoło, wydobył się z zamętu bitwy. Drugie wojsko przywitało go okrzykami radości, a jeden z wojowników podał mu wieniec z liści dębowych, lecz jeździec spojrzął na niego ośłupiałym wzrokiem i dalej popędził.

Na polu spotkał pasterzy, którzy rozpalili ognisko i opowiadali sobie powiastki. Zdziwił się jeździec, płomień ujrawszy. Odpędził pasterzy i chwycił głównię pałącą się i jechał dalej, wywijając nią naokoło, ciesząc się buchającym płomieniem i obłokami dymu, w których iskry jak gwiazdy powłóczyłym welonem za nim się ciągnęły, mieszając się z iskrami, które jego rumak z pod kopyt uderzając o krzemienie ciskał.

Wtem ujrzał wielkie miasto przed sobą, rzesza ludzi wyszła naprzeciw niego z muzyką i tańcami, wołając: Cześć zwycięzcy! cześć oswobodzicielowi!...

Wjechał przez otwartą bramę, a rzesza ludu szła za nim. Widział wielkie budynki, pałace, ogrody, i przepych ten olśniewał go i gniewał. Pałącą głównię

rzucił na jeden z domów, a wiatr szalony, jakby jego sprzymierzeniec, ponióśł ogień dalej i wkrótce całe miasto stanęło w płomieniach. Chaos, wrzawa i zniszczenie. Ludzie ratowali swój majątek z płonących domów. Jakaś matka wyciągała ręce za dziecieniem. On widząc to, wskoczył tam, gdzie niebezpieczeństwo było największe, i chociaż płomieniste języki węgliły mu ciało, wynióśł na rękach śpiące, ciche niemowlę i oddał je matce. Innym pomagał sprzęty ratować, a potem jakiegoś chorego starca porwał na barki i wynióśł za miasto w bezpieczne miejsce.

Zgliszcza tylko dymiły. Na łące ludzie biegali między sprzętami, płacząc i lamentując. Jeździec stał zdziwiony, ani jedna łza nie spłynęła mu po twarzy. Wielu z ludzi otaczających go liczyło pieniądze uratowane, a gdy brakowało, włosy sobie wrywali. Wtedy przypomniał coś sobie, pobiegł do swego konia, zdjął jedną sakwę i zaczął pełnemi garściami rozrzucać złote i srebrne monety. Ludzie cisnęli się zewsząd, depcząc się wzajemnie, popychając,



bijąc i wydzierając. On nie pojmował ich chciwości, a widząc, że wiele monet potoczyło się w trawę, sam je podnosił i szukającym podawał.

Siadł znowu na koń i jechał stępo. Minawszy wrzawę ludzi ujrzał zgraje psów, użerających się nad ścierwem jakiegoś człowieka. I zdjęła go znowu litość, wy dobył z sakwy głowę Zulimy, rzucił ją psom i jechał dalej, nie oglądając się.

Jechał wolno i smutek go ogarniał. Naraz podniósł głowę i powiódł wzrokiem po niebie.

W długiej, ciemnej nocy latami pograżony, nie widział nigdy słońca i nie wiedział, co to jest ta kula złocista, która się teraz ku zachodowi toczyła, zapadając poza horyzont, okolona wielkimi promieniami. I na równinę ścielił się blask łagodny, od słońca ku niemu, migotając po wszystkich kwiatach i ziołach. Nic takiego jeszcze w życiu nie widział, zapomniał tedy o wszystkim. Ten zachód wydawał mu się bramą ogromną, wiodącą do niezmiierzonych obszarów światła i blasku.

Tam, tam był jego cel, on musiał tą bramą przejechać, musiał wstąpić w słońce!

Wyciągnął ręce i wołał, wołał z pełnej piersi. Wołał głośniej niż szum rzek, przez które przesadzał, niż głos dzwonów w miastach, które mijał, niż ryk burz, które nad nim przelatywały. A koń pod nim rwał się, ledwie ziemi dotykając i pędził ku słońcu!

A ludzie patrząc na nich, przystawali i mówili:

— Co to za jeździec szalony, co to za koń zuchwały!... Gdzie jedzie? gdzie pędzi? oko jego wpatrzone wciąż w jeden punkt, a na ziemi niema nic, coby go zatrzymać zdołało!

Naraz przed jeźdźcem ukazała się czarna masa wód niezmierzona, a drugiego brzegu widać nie było.

— Gdzie jedzie? — mówił jeden rybak do drugiego — toż tam ocean bezkresny! Jeździec i rumak utoną!...

Ale on pędził ku bramie na krańcu nieba i ziemi.



W chwili, gdy słońce ostatni swój promień w wody zanurzyło, on nad brzegiem już był, potężny jak wielka czarna rzeka, wlewająca się do wnętrza mórz, i spał konia. I wtedy stało się, że gdy w powietrzu zawiśli, rumakowi skrzydła wyrosły, i w górę lecieli, jak chmura ogromna, a gwiazdy na nocnym niebie zdawały się tylko iskrami, które niedościgniony rumak z pod kopyt ciskał.

Pisane w lipcu 1894.

## POGRZEB.

Przygotowywał się do śmierci. Pokój obitł czarnym kirem, postawił na stole lampę, bo stało się całkiem ciemno. Nie wiedział, czy ciemno dlatego, że noc nadeszła, czy że pokój kirem obity — lub może już tak bardzo ciemniało mu w oczach? Zadzwoił, zaprosił do pokoju rodzinę i sąsiadów i oświadczył im, że chce już umierać.

Leżał nieruchomo na niskim łóżku. Kołdra sięgała mu pod brodę i wydawała mu się czarną, choć była czerwona. Na głowie czuł bryłę lodu. Położyli ją tam krewni, aby uśmierzyć jego gorączkę. Wnet jednak bryła lodu zamiast roztapiać się, zaczęła się zwiększać i lód osnuł go całego. Twarze krewnych i przyjaciół cofały się za tę zasłonę i zacierały. Lód



się rozszerzał — już cały pokój był nim wypełniony. On leżał pod nim, jakby przywarty do lodowej skorupy jakiegoś jeziora, na którym ślizgali się jego towarzysze.

Kiedy się obudził, było już południe. W pokoju było całkiem pusto. Wtem usłyszał trzask z bicza za ścianą na ulicy. Domyślił się, że to o niego chodzi. Prędko ubrał się i wyszedł z domu.

Ulica była świątecznie przybrana. Na oknach w doniczkach stały czarne kwiaty, na gankach były czarne dywany. Ulica wiła się do góry i ginęła w oddali, zamieniając się w obłok.

Tłum ludu go oczekiwał. Wszyscy ścisali sobie dłonie i cieszyli się, rozmawiając o kimś żywo ze sobą. Wśród nich stał wielki powóz, zaprzężony w cztery ogromne kare konie, którym ślepia krwawo błyszcząły. Na koźle siedział karzeł dziwnie przybrany i niby grzecznym lecz przytem tajemniczo szyderczym ruchem ręki, zaprosił nadchodzącego do wsiadania.

On bez namysłu wsiadł do powozu,

a karzeł znowu trzasnął z biczka i pojechali powoli. Tłum ludzi śpiewał coś przygłuszonym głosem, niósł chorągwie, a dzwony odezwały się zdaleka.

Siedział w powozie dumnie, nie śmiejąc się ruszyć. Nie patrzył na nikogo, odnosząc te wszystkie hołdy, śpiewy i dźwięki do swojej osoby.

Długo trwała ta jazda, nogi w kolanach mu ścierpły, lecz nie ruszał się wcale, oczekując końca podróży. Patrzył w niebo.

Minęli miasto, śpiewy i dzwony już umilkły, a tłum zaczął się rozchodzić. Jedni rozmawiali o przygodnych rzeczach, inni zrywali kwiaty, inni znowu szli na boczne ścieżki i znikali w gajkach, których pełno było na tej równinie za miastem. Sam został.

Powóz jechał dalej. Podróżny patrzył w plecy karła, który siedział na wysokim koźle i nie odwracał głowy. Konie parskały nozdrzami, a ślepia ich krwawiły się. Jechali teraz galopem, a naokoło był obłok.

Kiedy już słońce zachodziło, przyjechali



na miejsce. Ziemia była świeżo poruszona, nad nią stali dwaj ludzie, oparci na łopatach, nie patrzyli jednak na przyjeżdżających, lecz na słońce, przysłaniając sobie dłońmi czoła, aby lepiej widzieć jego ostatnie, pełne mocy i tęsknoty blaski.

Karzeł trzasnął jeszcze raz z biczem i wjechali w ziemię, a podwoje żelazne zawarły się za nimi. Przepadli w głębi.

Byłże to tunel, czy lava gęsta? Kamień zdawał się rozsuwalnym, jak powietrze.

Było to państwo nocy, państwo nieruchomości, a jednak nieruchomość jakby za nimi w dal się posuwała.

W tej chwili karzeł odwrócił głowę, otworzył usta, a podróżny usłyszał w głębi swej duszy głos ogromny, jakby odbity echem skał tysiąca:

— Ja jestem Bogiem!...

## WRÓG I NIEPRZYJACIEL.

— Przysięgnijcie, obrońcy ojczyzny — mówił wódz do żołnierzy — że będziecie walczyć jak lwy; zdaleka broń palna, zbliżka sieczna, umierający niech kąsa zębami. Oni nam zabrali nasze żony, pomordowali nasze dzieci, shańbili nasze kościoły... zemsta, zemsta najeżdźcom po wieczne czasy!

— Przysięgamy!

A z drugiej strony pola bitwy zagrzmiął głos drugiego wodza:

— Ejże, pohulaliśmy po ich miastach, ejże, obłowiliśmy się ich skarbami, zakosztowaliśmy ich kobiet — czyż nie zapłacimy za to sławną odwagą naszą? Nie możemy się spodziewać pardonu, ale jakąż przewagę będzie miała nasza spokojna pewność siebie nad ich rozpaczą!



— Hurra! — odrzekli żołnierze.

I starły się oba wielkie wojska, chmury dymu zaścieliły równinę. Genialne zwroty i ataki rywalizowały z cudami waleczności, armaty pękały od strzałów, sztandary jak żagle rozwijały się nad morzem krwi, dokazywano czynów, którychby Homerowi starczyło na dwadzieścia Iliad.

Po kilku godzinach nierozstrzygniętej, najzacieklejszej w dziejach walki, oderwały się od siebie oba wojska i wróciły na swe stanowiska. Jak dwa żubry, które zwarłszy się w lesie w walce o samicę, rozczepiają strzaskane rogi i broczą krwią z łbów poranionych.

Na kraju równiny, która była polem bitwy, rosło ogromne grube drzewo. Pod to drzewo skryli się dwaj żołnierze z obu przeciwnych obozów, szukając ochrony przed gwiżdżącymi zewsząd kulami. Zrazu poszli oni byli w bój ochoczo, zagrzani ogólnym entuzjazmem, uniesieni ogólną wściekłością, wrzeszczeli, kłuli i rąbali jak wszyscy, przytłumiając gwałtownymi ruchami czołgającą się w sercach

obawę, lecz później, gdy huk strzałów przycichał, gdy dymy rozstępywały się, ukazując tysiące niewidocznych przedtem choć tak samo skutecznych niebezpieczeństw, gdy oficerowie zaczęli rzucać sygnały do odwrotu, które rosły do znaczenia popłochu, wówczas zmęczenie przemogło odwagę, a instynkt samozachowawczy zapędził obu pod to drzewo, którego konary strzaskały ręczne granaty, w którego słoje wgryzły się setki na chybił trafił wystrzelonych kul karabinowych.

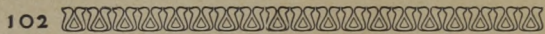
Dopiero gdy wszystko naokoło uspokoiło się, gdy już słychać było tylko rżężenie konających, ośmielili się obaj przytuleni do kory wojownicy odejść od pnia drzewa i postąpić kilka kroków, aby powrócić do swoich.

Wtem spostrzegli się wzajemnie; po ubiorze wróg poznał nieprzyjaciela. To niespodziewane nowe niebezpieczeństwo, pojawiające się w chwili, gdy zdenerwowani kilkugodzinnym bojem mieli już odpocząć, rozłościło obydwu. Wystrzelili raz i pod wpływem huku znowu zawrzało



w nich podniecenie wojenne; skoczyli ku sobie z impetem, lecz pień drzewa drogę im zagroził. Więc z nasadzonymi do żgania bagnietami zaczęli uganiać za sobą naokoło drzewa, każdy gotów strzelić w plecy przeciwnika i przybić potem do ziemi konającego. Gdy tak manewrowali, starając się jak najmniej swe ciała narażać, a czychając na odstąpienie się przeciwnika, powoli ostygła ich zaciętość i przemieniła się w ostrożność. Niebawem każdy z nich miał już tylko wrażenie własnej ucieczki i z ścigającego stał się ściganym. Nie biegli już z obawy, że chytry przeciwnik raptem zwróci się w tył i pierwszy wystrzeli, skradali się już tylko i wnet jakoś obaj stanęli. Jeden i drugi oparty plecyma o drzewo, w miejscach, które się im zdawały więcej wklęsłemi, trzymał karabin tak, aby każdej chwili lufę skierować w prawo lub w lewo — i oddychał głąboko.

Tak stali dość długo — ich sprężystość zaczepno-odporna słabła, ręce z karabinem opadały. Tymczasem skutek przebytych



emocyi u jednego z nich odezwała się potrzeba tej funkcyi fizyologicznej, której spełnianie łączy się zwykle z pewnego rodzaju charakterystycznym trzaskiem, a przy której odsłonięcie pewnych części ciała jest nieodzowne dla czystości ubrania. Sytuacya była kłopotliwa: dać w prawidłowy sposób folgę potrzebie — znaczyło zachęcić przeciwnika do ataku, a nawet go prowokować. Więc jak najostrożniej zrobił odpowiednie przygotowanie jedną ręką, trzymając w drugiej karabin z palcem na cynglu, potem wygiął się nieco i w celu zagłuszenia właściwej czynności zaczął pokaszliwać, chrząkać i charkać. Wtem posłyszał z drugiej strony drzewa odgłos, będący wskazówką, że przeciwnik już także oddał się tej samej funkcyi odważnie i bez ceregieli, czyto dlatego, że miał większą potrzebę, czy że po owem chrząkaniu przeczuł, o co chodzi. Wówczas i ostrożniś, korzystając lojalnie z takiego »zawieszenia broni« kucnął sobie wygodniej i zaraz lżej mu się zrobiło.

Załatwiwszy jednak sprawę prywatną,



obaj wojownicy podjęli napowrót swoje role i za pomocą otwierania i zasuwania zamków przy karabinach z donośnym a groźnym szczękiem ostrzegli się wzajemnie, że mają się na baczności i trwają nadal w nieprzyjaznych zamiarach. Ale wspólne odbycie funkcji tak pokojowej i tak wesoło urągającej całemu napięciu wojennemu, przecież zbliżyło ich nieco do siebie, ta zmiana zaś w ich usposobieniu objawiła się w tem, że podczas gdy pierwaj chcieli się mordować, jakby mechanicznie i na milczki, teraz otworzyli usta i zaczęli się wzajemnie wyzywać i łajać.

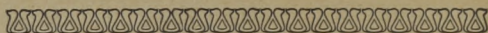
— Hej, ty! chodźno tu bliżej! — zawołał nieprzyjaciel.

— Wychylny łeb gamoniu, dam ci cukierka! — odparł wróg.

— Ja mam tu dla ciebie w karabinie takie cukierki, że zaraz wszystkich swoich przodków zobaczysz.

— Ty tchórze! wychodź na pole!

— Daj mi dobry przykład, ty chłystku obszarpany!



— Ty zyzowata kuternogo atlantycka!  
Chodź tu, to ci oczy wydłubię.

— Takiś tchórz, jak cała wasza armia!  
Włóczęgiście i obdartusy!

— Ty sam tchórz! My tu przyszli do  
was, nie wy do nas, wy pokraki weneckie!

— Zbóje i podpalacze!

— My wam tu rasę poprawiamy, boście  
jeszcze do małp podobni!

— Ty złodzieju z plugawym pyskiem!  
Dwóch głosek nie wymawiasz a pysku-  
jesz!

— Co ci do moich głosek, ty chodząca  
dyzenteryo farańska!

— Ty złodzieju wyszczekany, wyście  
wszyscy złodzieje, a wasz król kapcan!

— Ty, wara ci od mojego króla, małpi-  
królu!

— Wasz król będzie naszemu buty  
czyścił!

— A wasz za naszym będzie urynały  
wynosił!

— Milcz ty, bo jak cię...

— Co jak cię?... ano spróbuj!



— Ty nie przyprowadzaj mnie do pasyi,  
nie radzę ci!

— No to czemu zaczynasz?

— Ja nie zaczynam, to ty zaczynasz, ty  
grubianinie!

— A tak, zaczynam, bo mi się tak po-  
doba, i co mi zrobisz?

— Jak się nazywasz, ty pyskаты dra-  
bie?

— Niedopytalski! Chodź zresztą tu,  
zostawiłem dla ciebie pod drzewem mój  
bilet wizytowy!

— Godny zupełnie ciebie i twojego  
narodu!

— Ty mi w mój bilet nosa nie wtykaj!

— Zaraz poznać barbarzyńcę!

— Hi, hi, jaki mi cywilizowany! A jak  
ty się nazywasz?

— Co ci do tego?

— Jak cię zastrzelę, pójdę pocieszyć  
twoją żonę.

— Ty psiakrew, stul gębę! bo niech  
będzie co chce, wypadnę i zmasakruję  
cię! — krzyknął w pasyi nieprzyjaciel.

— No, no, nie straszno nadarmo! —

rzekł wróg, miarkując mimowoli swą złośliwość.

Umilkli, nie chcąc się bardziej rozdrażniać, obaj niezadowoleni z tonu tych pierwszych not dyplomatycznych. Myśleli nad tem, jakby wdrożyć akcyę pokojową, ale w ten sposób, żeby pierwsza propozycja wyszła od przeciwnika. Więc wróg, chcąc zatrzeć wrażenie swych obelg, wycełował w poznaną już łagodność przeciwnika takie słowa:

- Psiakrew, chce mi się dyabelnie jeść!
- To żryj trawę, ty bydlę!
- Widzisz, znowu sam zaczynasz! nie można mówić z tobą!
- No, to czego chcesz?
- Czy ci się jeść nie chce?
- No, a gdyby?...
- Mam kawałek chleba!
- To go zjedz!
- Może cię potraktować, małpikrólu?
- Nie potrzebuję — odburknał nieprzyjaciel.
- Aha, chciałbyś, ale boisz się go wziąć!



— Nie boję się nikogo, ty tchórze!

— Ja grzecznie cię zapraszam, a ty się złościś.

— Poco ty gadasz ciągle do mnie? Ja nie potrzebuję twego chleba, mam swój.

— Ho, ho! no to smacznego!

— Jakiś suchy ten twój chleb, aż tu słysząc, jak sobie na nim zęby łamiesz. A co masz do chleba? Ja mam kawałek pysznego sera.

— Łżesz ojczulku, jak pies! chciałbyś, żebym tu ślinkę połykał, ale ci się nie uda! Może jeszcze powiesz, że masz przy sobie kradzioną koninę i figi?

— Tego nie mam, ale mam trochę wódki.

— Ładny żołnierz! całą szpizarnię przy sobie nosi! obżarciuch! brzuchacz!

— O, piję teraz za zdrowie mego króla, a resztę tobie zostawiam, abyś coś miał, jak mnie zabijesz.

— Gdziebym się tam na twoje życie łakomił, dosyć już dziś tych pawianów rozprułem, a jeden taki sam akurat jak drugi!

— A ja tylko pięciu, boście do mnie

wciąż o pardon wołali, wy tchórze sobacze!

Tak przechwalali sobie swoje czyny, sławili potęgę swoich ojczyzn, dobroć swoich królów, geniusz swoich generałów, ale przez to znowu wgadali się w ferwor polityczny i nie mogli przystąpić do właściwej rzeczy.

Tymczasem słońce miało się już ku zachodowi i powoli zanurzało za góry swą wielką głowę, najeżoną wieńcem czerwonych bagnetów. Zapadający zmrok, ułtawiając swoimi cieniami kroki zaczepne, zmuszał do nich zarazem; trzeba więc już było koniecznie przyspieszyć rokowania.

- Słońce zachodzi.
- Ouwa!
- Po prawej stronie.
- Nie, po lewej.
- Po mojej prawej, po twojej lewej,  
o to niema kłótni.
- No i cóż?
- No i cóż?
- Znudziło ci się stać tutaj?
- Ja zaraz pójdę.



— Jak ci się nudzi, dam ci zagadkę do rozwiązania.

— Mamy ją tu właśnie.

— No, czy będziemy do sądnego dnia tu tak stali?

— Zdaje się, niezapługo nadejdzie — tak się ludzie mordują...

— Słuchaj, czy ty żonaty?

— Aha, zgadłeś! i mam troje dzieci.

— Toś ty rezerwista! Żal mi cię, nieboże!

— A ty kawaler?

— Kawaler, ale mam także dzieci, i to wszędzie.

— Powiesiłbym cię na suchej gałęzi!

— Ale ja się już poprawię! Ożenię się z Kaśką!

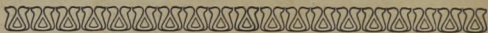
— No, to cię puszczę.

— I ja ciebie.

— Mamy równe szanse, musimy zawrzeć pokój.

— Albo wiesz co? ja ciebie wezmę do niewoli.

— Jesteś bezczelny! Jak się jutro spotkamy, to się jeszcze porachujemy!



— I owszem! Tą igiełką poszukam twojej wątroby!

— No, to bądź zdrow do jutra!

— Dobranoc!

— No, czemuż się nie ruszasz? Czekasz na mnie?

— A, bo ty wystrzelisz! Tyś się zaczaił!

— Nie bój się! ja jestem honorowy człowiek, ale ty — chytry pies!

— Ty, ty udajesz dobrego, ty stary lisie! Chciałbyś mnie w pole wywieść!

— Daj mi święty spokój, ja sobie sam pójdę!

— No, idź, idź, czemu nie próbujesz? Oj, ty chytry!

— Wiesz co? mam na to radę! Obaj sobie wzajemnie nie ufamy, więc najlepiej będzie: wystrzelajmy wszystkie swoje naboje w powietrze, na wiwat!

— Zgoda na to! strzelajmy!

I zaczęła się pukanina, wystraszająca znowu czeredę ptaków, które już były powróciły do swoich dziupli.



— Skończyłeś? jakoś prędko! ja jeszcze strzelałem! Widzisz, mógłbym cię oszukać!

— Strzelałem dużo w bitwie.

— No, to wiesz co? odrzuć ładownicę!

— Dobrze, dam ci ten dowód odwagi!

Ale ty także?

— Naturalnie!

— Raz! dwa! trzy!

Odrzucili ładownicę.

— Tak skwapliwie odrzuciłeś pierwszy... w tem jest coś podejrzanego! — rzekł nieprzyjaciel.

— A to tchórz dopiero!

— No! no! nie złapiesz mnie! Ty masz jeszcze nabój w karabinie, odrzućno także karabin.

— Czyś zwaryował? Ja mam wracać bez karabina? To wstyd!

— Znajdziesz ich dosyć po drodze.

— Więc dobrze! — odrzekł wróg z ukrytą myślą — ale ty także! Naturalnie razem z bagnetem.

— Ma się rozumieć!

— Więc kto pierwszy?

— Ty pierwszy mój synu, dostaniesz za to wódki.

— Ale dajesz słowo honoru?

— Daję!

— Na głowy twoich dzieci, że i ty potem...

— Na głowy moich dzieci!

— Więc dobrze! Raz, dwa, trzy!

Wróg rzucił swój karabin daleko od siebie. Nieprzyjaciel zaraz to samo uczynił, poczem wyszedł z za drzewa, niosąc w wyciągniętej ręce flaszkę.

— Masz, napij się synu!

W tej chwili jednak wróg skierował nań swój rewolwer i wołając patetycznie: Za wódkę płacę ołowiem! wystrzelił. Ale strzał zbyt pospiesznie wymierzony chybił, strzaskawszy tylko flaszkę w rękę przeciwnika.

— Ty dyable! — syknął nieprzyjaciel, zawrzawszy złością nieopisaną i skałeczoną ręką schwycił prawą dłoń wroga tak silnie, że rewolwer z niej wypadł. Ale zwinny wróg czując, że w walce na pięści nie sprostą rozjuszonemu przeciwnikowi,



pochylił głowę, rznął nią w jego piersi i odrzuciwszy go kilka kroków w tył, zaczął uciekać. Nieprzyjaciel, chwytając zrazu z trudem w piersi powietrze, puścił się za nim w pogoń, bo domyślając się przewagi swych mięśni zapragnął pewnej zemsty na rozbrojonym zdrajcy.

Ten jednak zoczył opodal w trawie na stoku pagórka trupa żołnierza z karabiniem w ręce. Skręcił więc w tę stronę, aby pochwycić nową broń, ale już nieprzyjaciel zmiarkował o co chodzi, i zabiegł wrogowi na poprzek drogę, trzymając ostrzem w dół, wydobyty podczas biegu, nóż składany. Dopadł go, zwarli się, upadli razem na ziemię. Wróg zręcznie pokierował upadkiem w ten sposób, że się staczali po pochyłości — trzymając kurczowo w swej dłoni dłoń nieprzyjaciela, uzbrojoną nożem, szamotał nią tak, aby podczas tarzania się nieprzyjaciel sam się nakłuł na ostrze lub zamknął nóż. Zranili się już kilka razy. Gdy mu się to nie udawało i czuł że słabnie, uchwycił

w zęby dolną wargę nieprzyjaciela i targał ją.

— Nie kłaj! — wyręzał przeciwnik.

— To wypuść nóż! — szepnął wróg, przestawszy go kłaj na chwilę.

Na jego szczęście nóż jakoś sam się zamknął, a właśnie już obaj dotoczyli się do trupa. Wróg, wyrwawszy się z objęć nieprzyjaciela, rzucił się na trupa, aby co prędzej dobrać się do karabina z bagnietem i do ładownicy, ale tuż za nim rzucił się nieprzyjaciel, udaremniając jego zamiar, i wtedy dokoła martwej dłoni zabitego żołnierza splotły się dwie pary dłoni żywych, drgające nadmiernym wysiłkiem.

W ostatnich blaskach zachodzącego słońca trwała walka najstraszniejsza — walka dwóch rozwścieklonych tchórzów, z których jeden musiał zginąć, a żaden nie mógł uciekać.



## CZEM JEST HORLA?

(RODZAJ PROGRAMU).

W przededniu swego obłąkania Maupassant napisał »Horlę«. Jestto straszne wyznanie autora-człowieka pod pozorem wizji artystycznej.

Któż nie przeżył chwil, w których mu się zdawało, że coś niewidzialnego jest z nim razem, — że ktoś za nim chodzi nad nim się pochyla, jest w jego myślach i snach?

Opętał go Horla, wampir, istota wyższa, której mnóstwo podobnych przybyło skądś na ziemię, — istota, dla której człowiek jest krową. To już nawet nie urojenie, poczęte w jakimś nadzwyczajnym stanie świadomości, nie gra filozoficznej imaginacji, ale fizyologiczna rzeczywistość. Z początku nawet śmieszna. Pan strach! Pan strach wypija wodę z zatkanej ka-

rafka: cudowna sztuczka! Pan strach siedzi tam, tam, obraca kartki książki — a gdy go napadnę, ucieka przede mną przez okno, tłukąc mi szyby.

Chwila nawpół naocznego objawienia się Horli: Człowiek staje przed lustrem, ale coś — jakaś mgła obraz jego w lustrze przesłania. Aż rozsuwa się mgła, spływa ukośnie niby ciecz i odbicie jest czyste. A więc był przesiąknięty Horlą.

Nawet dusza tego człowieka jest gniazdem Horli: Horla rozkazuje, Horla nie pozwala, Horla go sugestyonuje. Nie można o nim nikomu powiedzieć, nie można z zewnątrz zawezwać pomocy. Zawsze i wszędzie, w swojej samotności i wśród tłumu — sam na sam ze swoim Horlą.

Walczyć z Horlą!

Człowiek obmyślił plan. Zrobił ze swego pokoju hermetycznie zamykaną klatkę, zwabił Horlę do środka, wymknął mu się przez drzwi, zatrzasał je za sobą, a potem podpalił swój dom w sposób również z góry przygotowany.



I świat mu się naraz innym wydaje, przyroda tchnie szczęściem... Pozbył się Horli, oddycha pełną piersią!

Ale czyż można pozbyć się Horli? Już coś nachyla się nad nim i szepce mu w myśli: I ja tu jestem, ja twój Horla, z tobą do śmierci!

Do śmierci? A więc zabiję się!

Oto treść nowelli Maupassanta. Jestto apoteoza pustki, wyśpiewana hymnem grozy. Jestto wołanie o pomoc, które w drodze zamieniło się na muzykę. Horla to tajemniczy minotaur, mieszkaniec głębin tej przeraźliwej samotności ludzkiego życia, która trwa od kolebki aż do grobu, otaczając duszę człowieka przepaściami, nie dopuszczając żadnego ratunku.

Nowella Maupassanta wywiera straszne, ogłuszające wrażenie. Oko zezem spoziera, zimno owiewa skronie, a choćby się nawet było w kole znajomych, doznaje się naraz uczucia ogromnego osamotnienia.

Nie poddam tu rozpatrzeniu kwestyi, jakimi środkami osiąga Maupassant to

wrażenie, czy idziemy tu na lep wyrafinowania autorskiego, czy jest tam coś czystsze, — chodzi mi o istotę samego wrażenia. Ono mi daje sposobność stanąć na jakiejś wyżynie, z której widzę gmach poezyi, jak błyszczy i w jakich ginie obłokach. Chcę udowodnić myśl — nie, chcę ją wypowiedzieć w ten sposób, by się stała widzialną, myśl, że poezya jest Horlą.

Każde wrażenie jest święte. Lecz są ludzie, mający tę szczególną podłość, że nie ufają swemu wrażeniu i muszą je sobie naprzód odpowiednio spreparować, małoduszne umysły niezdolne do pierwotności. Ci chcąc się otrząść z wrażenia noweli Maupassanta powiedzą: »E! to chorobliwe, on oblicza tylko na nerwy!«, bo jest to ich cechą, na wszystko, co jest właściwie zagadką metafizyczną, znaleźć jakieś słówko wyrwane z patologii, a wiadomo, że nazwa bywa zwykle grobem kwestyi. Dla nich wrażenie to jest nieprzyjemne, niewygodne, więc chcieliby je zbyć jakąś rzekomo estetyczną odrazą. Są wobec Horli tak jak pies, gdy patrzy



w oczy człowieka i może przeczuwa jego wyższość metafizyczną i drzeć i skomleć zaczyna.

Ale właśnie dlatego, że to jest straszne, przypatrzmy się temu. Ufajmy świętej prawdzie pierwszego wrażenia, przynajmniej się, że jest tu jakiś tajemniczy pierwiastek, raz zawarty we wszechświecie, z którym się rachować potrzeba. Czyż nie podobnie było z satanizmem? Czyż ludzkość nie dokonała wielkiego czynu przeciwstawienia Bogu Lucyfera i czyż na tym symbolu oparta nowożytna etyka nie postawiła sobie celu: wywieść dobre ze siły zła?

Wrażenie Horli jest czysto osobiste, osamatniające. Naraz się jakieś okienko otwiera. Świat ten, w którym dopiero żyliśmy i działali, staje się naraz tajemniczym, obcym. Duchami wydają się ludzie, materya zlewa się z sobą, czujemy jakiś wiatr kosmiczny, tchnienie chaosu. Oko patrzy w głąb i świat cudownieje, stwarza się.

Ktokolwiek, zdolny do szczerości, przy

pomni sobie wrażenia, jakie z dotychczas czytanych książek odnosił i zsumuje je, przyzna, że może tylko dwa, trzy między niemi były, o których pomyśleć przed śmiercią warto, które dla jego duszy były zdarzeniem. Co prawda takie wrażenie było w każdym poszczególnym wypadku wywołane jakąś specjalną treścią i przybierało jej barwę, lecz zawsze miało wyżej opisany charakter, zawsze w niem tkwiło to nagłe odkrycie, że świat jest właściwie cudem, a fenomen ten nazwijmy wedle jego najbardziej jaskrawego objawu: Horlą.

Celem świata jest powrót do cudu, poezya ilustruje ten cel, osiągając go zarazem w ten sposób chwilowo. Na to zaś składają się następujące czynniki.

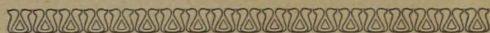
Pierwszym jest poeta, twórczy dzieło. Każde dzieło, bez wyjątku, można ze stanowiska rozumu zniechęcić, wykazać nedorzecznosc i kruchość idei, charakterystyki, stylu, techniki — ale pozostanie na dnie niezniszczalna siła, rozstrzygająca w ostatniej instancji o wartości dzieła:



a tą jest nieświadoma i nieobliczalna energia autora, wypływ metafizycznego pierwiastku woli. Myśl tę objaśniam frazesem Krasińskiego: »Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknoscią«, ale przez »ciebie« mam tu na myśli nie poetę, lecz poezję. To jest pierwsze koło.

Dzieło samo w sobie stanowi drugie koło. Z poprzedniego ustępu już wynika, że poezja będąc sama naturą, nie potrzebuje i nie może naśladować natury. Absolutny naturalizm jest tedy niemożliwy. Ale najnaturalniejszym objawem poezji jest właśnie to, że chce oddać naturę: naturalizm jest odwieczną kategorią myślową. Na najwyższym stopniu intensywności dąży jednak poezja nie do oddania zagieć natury, lecz do dania jej tętna, jest to zadanie, do którego ona sama bez a nawet wbrew sterowaniu doktrynerów, grawituje. To zaś tętno natury — jest wola.

Trzeciem, ostatniem kołem jest dusza czytelnika. Energia autora i tętno dzieła udzielają się czytelnikowi i wywołują



w nim powtórzenie stanu twórczości. I to jest także wola.

Poezya grawituje tedy do dania tętna natury. To tętno — to jest właśnie Horla. Poezya jest naturą i dlatego jest straszną i cudowną. Że ten cel jest właśnie prawdą, rękojmię daje jego niesłychana trudność i niedostępność. Niema dzieła w literaturze, któreby go osiągnęło, chwilami tylko jak błyskawica jego światło się przedrze. Zdaje się, że pierwsze i trzecie koło są jeszcze za mało zdolne do owej demonicznej szczerości i prawdy, która jest podstawą cudu.

Jak się zwykle podobają »utwory«? Czysto po literacku, a więc fałszywie. Myśl jest, charakter dobry, styl świetny, bycze sceny, więc wszystko w porządku. I to się nazywa wrażeniem!

Wy nie wiecie na jakich wyżynach króluje poezya!

W czasach obłądy i niemocy my chcemy wyemancypować poezyę z pod literatury.

Chcemy stać na straży jej zadania, bliżsi chaosu niż inni! Nie mogąc osiągnąć za-



dania, pragniemy w poezyi wypowiedzieć je przynajmniej z całą bezwzględnością. Krew własna jest rdzeniem poezyi i strumieniem piękności. To jest druga Horla.

Naturalizm wchłonał w siebie romantyzm, symbolizm wchłonał w siebie naturalizm. W dalszym ciągu musi poezya wchłonać w siebie i zaanektować tę drugą Horlę, dążąc ku nieznannej przyszłości.

Niech poezya zbliży się niewidzialnie, okrąży człowieka, zaszeleści mu skrzydłami nad głową, kładzie mu rękę na duszę i szepce:

I ja tu jestem, ja twój Horla, ja zawsze z tobą!

5 maja 1896.

## MAŁŻEŃSTWO MARAN.

Przybył do tego miasta pociągiem pospiesznym o godzinie drugiej po południu i stanął w jednym z pierwszorzędných hoteli. Ponieważ jednak w mieście miała się odbyć koronacja cesarska i mnóstwo uroczystości, pochodów, illuminacji itp. z tej okazji zapowiedziano, napływ przyjezdnych po hotelach był większy niż kiedykolwiek i lepsze, wygodniejsze pokoje były już zajęte. Musiał tedy poprzestać na pokoiku na drugiem piętrze w oficyinach, co go zresztą niewiele obchodziło. Wszak przybył tu nie po to, aby z okien frontowych gapić się na przeciągające ulicami tłumy, lub obrzucać kwiatami dostojne osoby i wykrzykiwać na ich cześć nieszczerę wiwatę. Powodem jego podróży był on sam, a raczej jego ciało.



Zrezygnowawszy z wszelkich illuzji życiowych stał się hipochondrykiem i postanowił czuwać bezustannie tylko nad prawidłowem funkcjonowaniem swojej maszyny cielesnej. Zdawało mu się bowiem, że skoro mu już raz oddano tę maszynę w opiekę, to obowiązkiem jego jest utrzymywać ją w porządku, jak zegarek. Tymczasem właśnie w ostatnich czasach coś się w tej maszynie popsuło. Zbadał mianowicie skrupulatnie swój oddech i odkrył w nim pewne nieprawidłowości, które go zatrzymały. Najął zrazu zdrowego, silnego jak dąb chłopaka i wsłuchując się w melodyę jego oddechu, studyował, na czem polega normalny sposób oddychania, a potem godzinami regulował ruchy własnej klatki piersiowej. To jednak nic nie pomagało, owszem wywoływało tylko silne napływy krwi do głowy, doprowadzające go niemal do utraty przytomności, oraz objawy formalnego duszenia się. W nocy czuł na piersiach jakby jakąś żelazną rękę, która go powoli przygniatała, nie pozwalając żebrom rozprężyć

się swobodnie. Wreszcie zdecydował się zasięgnąć porady lekarskiej i nie szzczędząc kosztów, wybrał się do tego miasta z otuchą w sercu.

Pierwszem jego zajęciem było wypytać się o mieszkanie lekarza, któremu zaufać postanowił, i pospieszyć do niego. Ale lekarza nie było w domu, miał wrócić dopiero następnego dnia.

Chcąc więc, czy nie chcąc, znalazł się przybysz wobec perspektywy spędzenia reszty dnia beczynnie w mieście, w którym był po raz pierwszy, wśród ludzi, których języka nawet niecałkiem rozumiał i którzy mu byli antypatyczni. Że jednak siedzenie w hotelu nudziłoby go jeszcze więcej, postanowił zwiedzić miasto i zaczął się błąkać po ulicach.

Ulice miały wygląd świąteczny i nie-naturalny. Szkoda, że nie przyjechał w innej porze, aby poznać jak to miasto żyje w zwykłych warunkach. Bądź co bądź było w niem wiele pięknych rzeczy. Widział gmachy, ogrody, wystawy, urządzenia, o których nie miał pojęcia, cuda



techniki, które mu imponowały, i tyle jeszcze innych wspaniałości, — i dla każdej z nich miał w duszy słowo łagodnego uznania. W gruncie rzeczy to wszystko zrazu muskało tylko jego umysł, gdyż przyzwyczał się zjawiskom takim przeciwstawiać swój dawno ukuty frazes: że są one jest tylko bezpotrzebnem powiększeniem mianownika.

Mimo to duch jego znajdował się w stanie podniecenia. Ludzi zbierało się na ulicach coraz więcej i nastrój tłumu udzielał mu się także. Zaczął dążyć tam, gdzie oni, patrzeć tam, gdzie oni, ogarnęła go zresztą przeciętna ciekawość, na której zaspokojenie miał dosyć czasu.

Chorągwie powiewały z okien, drogocenne dywany zwieszały się z balkonów, gzymsy ubrane były choiną, a festony połączone girlandami kwiatów. Wszystko parło ku marmurowej bramie tryumfalnej, którą miał przejeżdżać cesarz, udając się na akt koronacyi. Kapele grały już hymn narodowy, a entuzjazm tłumów zbliżał się do punktu kulminacyjnego.

On sam stanął na kupie głązów, z której mógł widzieć wszystko. I cieszyło go to, co widział. Zdawało mu się, że tłumy oddychają w takt muzyki, i wogóle cały ten stek postaci, ruchów, barw, krzyków i dźwięków pojmował pod muzycznym kątem widzenia: jako symfonię złożoną z kakofonii.

Wreszcie zagrzmiąły dzwony w mieście, wrzawa podniosła się ogromna, a pod bramą tryumfalną ukazał się monarcha, tworząc wraz ze swoją świtą na tle rozmodlonego uciechą tłumy lśniąca monstrancję przepychu, od której aż kapało od złota, purpury i dyamentów. W zlanu się zaś tego przepychu z entuzjazmem tłumów, wykrzykujących chrapliwie i nierówno ogłuszające: »niech żyje!« tkwił akt uroczysty obopólnej przysięgi na życie i śmierć — przyspieszone tętno oddechu ziemi.

On zaś doznał uczucia ogromnego osamotnienia. Był wobec czegoś, co go pytało: Ja jestem tem, a czem ty jesteś?...



Człowiek bowiem żyje codziennie w zespoleniu z naturą, choćby na pozór był jej najbardziej obcym, ale są chwile, w których natura skupia się, budzi, wyodrębnia, idee obce nabierają wyraźnych kształtów i człowiek czuje się wyłączonym poza pierścień jakiegoś osobnego świata. Wielkie wypadki i wielkie przedmioty zawsze izolują.

I jak zawsze w takich razach przyszła mi na myśl ta, z którą niegdyś chciałem powstrzymać ten napór spadającego nań obcego świata. Przypadła mi chwila tak potwornej tęsknoty, że prawie w piersi słyszałem bulgotanie łez. Aby się poskromić, nadałem twarzy fałdy obojętne, zmrużywszy pełne dziwnego ciepła oczy. Stałem nagle nad brzegiem otulonego dotychczas w mgły morza bólu i uczułem, że brak mi tylko chęci, odwagi i siły, aby głębiej tego morza zmierzyć, te wszystkie łzy wypłakać i dać się porwać wirom beznadziejnej rozpaczki. Cofnąłem się przed swym bólem jak tchórz, zadrżało mi tylko cicho obojętne już serce. Wciąż jednak myślałem o niej.

Przypominał sobie sytuacje z nią przebyte i czuł, że nowe oczy dorastają mu w mózgu. A szczególnie jedna z tych sytuacji tańczyła mu przed pamięcią.

Był to spacer na drodze wiejskiej. Ona szła naprzód z kim innym, a on o kilka kroków za nimi szedł razem z pewnym poczciwym chłopcem. Księżyc był w pełni i jasno oświetlał równinę. On idąc w tyle rzucał pierwszej parze bezsilne przycinki i zachęcał złośliwie swego towarzysza, aby we dwójkę deptali po jej cieniu. A przecież w tej samej chwili patrzył wtedy na las czerniejący w oddali, na białe księżyc, unoszący się bez nieba nad lasem, i domyślał się w tej ciemni istnienia wolnych, oblaných jasnemi strugami światła polanek, w otoczeniu filarów drzew, niby meczetów modlącego się spokoju.

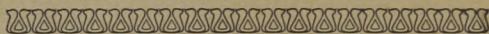
Już oddawna wszedł w tłum i z oczyma nieruchomo w dal wpatrzonemi snuł się bezwładnie, popychany to w tę, to w ową stronę przez ludzi, jak szczątek rozbitego statku miotany falami. I było mu dobrze z tą bezwładnością, tak że niemal żało-



wał, gdy ludzie zaczęli się rozchodzić, dążąc w inną stronę do innego widowiska.

Co też się z nią teraz dzieje?... — to pytanie wymykało mu się z duszy siłą konsekwencji. Defilowały przed jego umysłem wszystkie możliwości jej osoby dotyczące, kombinowały się same i znosiły wzajemnie. Przypomniał sobie, że gdzieś słyszał, że ona weszła w stosunki z kim innym; jakiego to rodzaju były stosunki i z kim, tego nie starał się dowiedzieć, unikał nawet osób, u których mógłby w tym kierunku zasięgnąć informacji. O głupi! czy nie lepiej ci było pójść do niej, związać jej ręce, zakneblować usta, cisnąć jej w oczy całą kaskadę zwierzeń, wyrzutów i omamień, rozkazać jej kochać siebie i zatrzymać przy sobie na pamiątkę po tej, którą nie była.

Przyspieszył kroku i uczuł napływającą w siebie siłę woli. Własny oddech wydał mu się naraz równym i melodyjnym, w okolicy podniebienia czuł miły chłód i chuchając sobie na rękę, chwycił nozdrzami swoje powietrze, mówiąc, że



ono wonieje jak ambra. Dotykał muskułów u swoich rąk i wydały mu się prężnymi jak cięciwy, a zarazem czuł dalekie wibracje zachcianek, które się już dawno u niego nie odzywały.

Wstąpił do restauracji, zjadł sutą mięsną kolację i wypił parę lampek wina. Byłby sobie zapalił cygaro, gdyby się nie obawiał o piersi. Przy płaceniu uszczypnął kasyerkę w policzek, a gdy się dąsała, uszczypnął ją w drugi policzek. Wychojąc, nadeptał jakimś pudłowi na ogon, a wsłuchując się w przerywany skowyt psa, uraczył się sporą porcją własnego śmiechu.

Wrócił do hotelu w dobrym humorze i wszedł do swego pokoju. Zapalił świecę i rozejrzał się dookoła. Pokój był długi, prostokątny, z wysoką powałą. Umeblowanie wykwintne, piec kaflowy, a w jednej ścianie tkwiło duże lustro. Łóżko było zasłane czyściutką pościelą.

Zanim się spać położył, spacerował długo po pokoju. W głowie płały mu myśli, które do niedawna uwiązane na sznurku, teraz skądś się wzięły, swawoliły,



witały się wzajemnie: I ty tu? A, i ty tu? Plany wspólnego pożycia z nią odnawiały się i wabiły go znowu, tworząc tarczę z różnokolorowych pierścieni naokoło jednego zacienionego punktu. On zaś wiedział, czym jest ten zacieniony punkt i uśmiechał się do niego.

Siadł do stolika i w szufladzie znalazł czystą ćwiartkę papieru. Wyrysował na niej inicjały imienia swego i jej, splątane z sobą misternie. Znak ten otoczył prostokątem i fantazując dalej ołówkiem, zrobił z tego szyld, do szyldu zaś dorysował domek ze strzechą, dwoma oknami i kurzącym się kominem. Drzwi dać zapomniał, lecz tak jest lepiej — pomyślał sobie — będziemy wyłazili przez komin. Naturalnie obok domu ogródek, kwiaty, motylki. Rośliny całkiem egzotyczne, nito cyprys, nito kukurudza.

Tak zabawiał sam siebie swoją romantycznością, a potem przytknął zarysowany papier do świecy i spalił. Uśmiechnął się i podczas rozbierania się dbał o to, żeby mu ten uśmiech pozostał na twarzy,

po prostu drapował się własnym śmiechem. Wreszcie położył się do łóżka, zgasił świecę, a że był nieco z podróży zmęczony, zasnął niebawem.

Spał kilka godzin snem twardym, wtem ze spoczynku wyrwał go jakiś szelest podobny do szeptu. Jeszcze przed obudzeniem się zdawało mu się, że ten szelest należy do snu, a gdy się budził, szelest jakby się wysuwał z niego samego, wydostawał na piersi i oddalał w pewne stałe miejsce. Lecz była to może tylko złuda akustyczna? Szelest lub — tak jest, szept był blisko niego, po lewej ręce, za ścianą.

Tam, w drugim pokoju, rozmawiano przyciszonym głosem.

Wiedziony ciekawością przytknął ucho do ściany i nadśluchiwał. Rozróżnił wyraźnie dwa głosy: męski i kobiecy. Słów nie słyszał dokładnie, ale z tonu rozmowy mógł łatwo wywnioskować, o co chodzi. Mężczyzna prosił i zaklinał, a kobieta niby się opierała. On roztaczał przed nią jakieś górnotne widoki, a ona słu-



chała z namaszczeniem i w głosie jej znać już było powolne uleganie. Rozmowa prowadzona zrazu namiętnie, wkraczała w fazę urywanych i niedomówionych zdań: widocznie jakieś mistyczości wchodziły już w grę, a rozkochanie sięgało szczytu. Nadśłuchujący wyobrażał sobie, że kobieta zapewne siedzi na krześle na środku pokoju, on klęczy u nóg, opiera głowę na jej kolanach, oboje zaś patrzą w niebo, t. j. w sufit, a lampa jest trochę przykręcona.

Naraz drgnął. Zdawało mu się, że poznaje głos kobiety — tak, to był niewątpliwie głos »jeja«!

Zerwał się i usiadł na łóżku. Krew mu napłynęła tak gwałtownie do serca, że przestał nadśłuchiwać, zaniepokojony swoim stanem fizycznym. Położył dłoń na lewą pierś i czekał, póki skurczenia mięśnia sercowego znów nie stały się prawidłowymi. Potem rozmyślał, jakim sposobem ona się tu znaleźć mogła i kto mógł być tym mężczyzną. Rozmyślenia te nie dały żadnego rezultatu.

Głosy odzywały się znowu.

Opadł na łóżko i zamknął oczy, pewny, że w ten sposób lepiej wszystko usłyszy. Zachowywał pozycję nieruchomą, palce u rąk rozprzestrzenił, aby uniknąć mimowolnego zaciskania pięści, usta otworzył, aby zębami nie zgrzytać, i słuchał. A słuch jego zaostrzał się z każdą chwilą.

Tych dwoje tam zachowywało się bardzo dziwnie. Brali oni z sobą rodzaj ślubu. Mianowicie napisali sobie na kartkach takie dwie roty przysięgi, jakiej jedno od drugiego wymagało, a strona druga miała ten dokument przeczytać i podpisać. Pisanie zaś odbywało się w sposób dyabelski, gdyż jako atramentu używali własnej krwi. Wreszcie włożono oba dokumenty do jednej koperty, zaadresowano ją: »Wielmożny Pan Bóg w niebie« — a potem dał się słyszeć leciutki trzask otwieranych drzwiczek od pieca. Oboje podpalają list na dwóch rogach. Nastaje chwila ciszy. Zapewne patrzą w zadumie na płomień, jak wzrasta, bucha, gaśnie, zostawia popiół. Wtedy się całują.



Nadsłuchujący jegomość znowu powstał. Zastanowiło go to, że jest tak spokojnym, bez cienia zazdrości. Jakby się rozkoszował tamtem szczęściem. Spostrzegł nawet, że cmoka równocześnie ze swoim rywalem.

Tymczasem tam wewnątrz było wesoło. Śmiano się, całowano i pieszczono, widocznie jednak było to tylko preludium.

Nagłym ruchem zrzucił z siebie kołdrę, zapalił świecę i usiadł na łóżku, stawiając bose stopy na ziemi. Był tylko w koszuli i kalesonach, więc zimno nim owiało tak, że zaczął szczekać zębami, a włosy zjeżyły mu się na głowie. Chciał krzyknąć lub uciekać, lecz coś wstrzymywało go, aby doczekał końca.

I słuchał tego, co się działo dalej, i nie mógł już dłużej zapanować nad swoimi ruchami. Szczęk zębów zamienił się we wściekły zgrzyt, który go upajał. Gęba jego musiała być przekrzywiona straszliwie. Z zupełną świadomością swoich czynów zaczął sobie targać włosy. Ścisnął pięści i kułakami bił się po czole nad oczyma, słuchając w mózgu echa tych uderzeń.

W oczach czuł ból nieznośny od wstrzymywanych łez, a nozdrza, górna warga, oraz okolica pępka drgały mu tak, że znowu zgrzytać zębami musiał.

Wtem naprzeciw siebie przy świetle świecy ujrzał lustro. Lustro to było duże, prostopadłe i dotykało podłogi. Widział w niem całą swoją postać siedzącą na łóżku, ujrzał swój wzrok obłąkany, rozczochrane włosy, rozerwaną na piersiach koszulę, wypieki na twarzy — i uczuł nad sobą głęboką litość.

Łóżko, na którem oboje się kładli, było tuż za ścianą. Tak blisko, że słyszał każde słowo, szept, ruch, szelest zrzuconych sukni i żarty. Każdy głośniejszy pocałunek ranił go w serce, w którem doznawał jakby uszczypnięcia rozpalonemi obcęgami. Syczał z bólu i znowu zaczął się bić pięściami po głowie i po piersiach, aby ten ból zlokalizować.

Już patrzenie w lustro nie dawało mu żadnego uspokojenia, owszem doprowadzało go do coraz większego szału. Wykoczył na ziemię i wił się, kłając zę-



bami dłonie i łokcie. Bił czołem o ziemię, a chwilami znowu nieruchomo spozierał na obraz jakiegoś nędzarza odbity w lustrze.

Tymczasem działy się rzeczy, z których śmiał się coraz bardziej. Śmiał się aż do kaszlu. Wkładał palce w płomień świecy i cofał je potem sparzone. Coraz bardziej zatracił poczucie własnej odrębności i wmyślał się w sytuację tych tam, współdziałając niejako z nimi. Zamieniał się cały w zwierzę. Oddech jego stawał się tak samo krótkim jak u nich — ciało było spętane polipem wyimaginowanego spółkowania.

Starał się zachowywać całkiem biernie, lecz nie mógł temu przeszkodzić, że jego wyobraźnia stawała się terenem szczegółów miłości, najsubtelniejszych, najmilszych szczegółów, które za wyobraźnią powtarzały rozszalałe nerwy.

---

Wspinał się na wysoką, wysoką górę, zarosłą dziwnymi kwiatami, wspinał się tam, gdzie u szczytu widział z początku

niecو przyćmioną, lecz potem coraz bardziej rozjaśniającą się gwiazdę rozkoszy

— — — — —  
— — — — —  
— — — — —  
— — — — —

Cha! Cha! Taką więc była utajona kwint-esencya czułych wspomnień miłosnych! Takim był odwieczny hieroglif tej siły, w której sieciach znalazł się dzisiaj!

Usłyszał miarowy chód zegara ściennego. Niezmordowanie Czas stąpał po Ciszy...

Nastała dlań chwila takiego spokoju ducha, tak rozpaczliwego upojenia poczu-ciem własnej zwierzęcości, takiego wyrwa-nia się poza obręb wszystkiego, co ludzkie, że zdawało mu się, iż czuje jak ziemia, na której to jego łóżko stało, robi mil-tysiące i jest coraz bliższa wbiegnięcia w Nieznane.

Później dźwignął się, czując jakiś ból w karku. Na swoim ciele i w całym pokoju czuł płciową woń, niemiłą i drażniącą zarazem. Otworzył tedy gwałtownie okno i wietrzył pokój pomimo okropnego zimna, które nim wstrząsało. Płomień



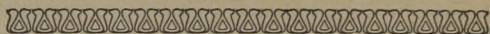
świecy wahał się pod podmuchem wiatru. On jednak przechylił się i wyrzwał.

Od obu stron okna, tuż blisko, wyskakiwały równoległe ściany, otaczając sobą ciemne podwórze. Był to graniastosłup czarności. Podniósł głowę w górę i ujrzał nad sobą jeszcze parę piątr, jego okno znajdowało się tedy w samym środku owego głębokiego graniastosłupa.

W oddali, poprzez mur przeciwległy, widział łunę mnóstwa świateł. Była to illuminacya. Uzmysławiał sobie szmer życia wrącego naokoło tych świateł tak długo, aż mu się wydało, że ten szmer dolatuje aż do niego. Gwiazdy iskrzyły się na niebie, a było ich tyle i zeskakiwały tak nisko, że trudno mu było oznaczyć granicę między obiema illuminacyami spółkującymi ze sobą.

Dławiąc tym widokiem swoje oczy, stał przy oknie z gołą piersią, kaszlącą gębą, oczyma powleczone mi mgłą starczą, stał i wylizywał łzy spadające mu na rękę.

Wreszcie skwapliwie zamknął okno, od-



szedł odeń i przytuliwszy ucho do ściany, usłyszał — nic!

Dowlókłszy się do dzwonka, zadzwonił. A gdy kelner wszedł i zapytał głośno, czego gość sobie życzy, on położył palec na usta i szepnął: pst!

A potem po cichu, jak żeby nie zbudzić nikogo, zapytał:

- Kto zajmuje sąsiedni numer?
- Który?
- Ten.
- Małżeństwo Maran.

Pytający uśmiechnął się i machnął ręką. Dla niego było przecież aż nadto widocznem, że ci państwo podróżują *incognito*, aby on ich nie poznał.

Ręce mu drżały, lecz kazał służącemu, by go ubrał zupełnie, uczesał, a podczas tej całej czynności dziwił się, że mu ciało tak zesztyniało. Musiał się oprzeć na lasce, którą mu przyniesiono, a służący sprowadził go po schodach.

Nie wiedział całkiem, gdzie ma się udać, ale to czuł, że pod tym dachem przebywać już nie może.



Na dole przed hotelem stały doróżki. Jeden z doróżkarzy zaprosił go do karetki, grzecznie sam go podprowadził i usadowił na poduszkach. Lecz gdy zapytał swego pasażera, dokąd go ma zawieźć, za całą odpowiedź otrzymał bezmyślny uśmiech, który wytłómaczył sobie po swojemu, — mrugnął parę razy oczyma tajemniczo, zatrzasnął drzwiczki, siadł na kozioł, zaciął konie i pojechał.

Mnóstwo innych doróżek jechało w tę samą stronę, tak że utworzyła się z nich jedna kawalkata, przecinana na pewnych punktach ulic podobnemi kawalkatami, zdążającemi w inną stronę, a to wszystko w ruchliwej i przesadnej fantazy chorego przedstawiało się jako sieć ruchoma, zamotana na grupach domów miasta. Maligna trwała dalej, wywołując nowe widma. Światełko po światełku opuszczało na chwilę łańcuchy illuminacyi i zaglądało doń przez szyby karety. A potem i główki kobiece, dążące w przeciwną stronę, przytulały się do pary na szybach okna, a każda z nich miała twarz pani Maran.

Wreszcie ktoś usiadł naprzeciwko niego, pochylił go w tył i położył mu ciężką rękę na piersiach.

— A to pani, pani Maran... dobrze... tak mi przyjemnie... jestem trochę chory... ale to przejdzie... dlaczego pani rozwiera swoje palce na moich piersiach... precz... luba, słodka pani Maran... do licha jestem zanadto grzeczny... jestem przecież panem Maran, a ty jesteś panią Maran... szmato jakaś... mam prawo... podnieś nogę i połóż na mojem kolanie... tak rozkazuje... oh, nie ciśnij... duszę się...

Dorózka zatrzymała się. Nad mężczyzną duszącym się w gorączce astmatycznej pochyliły się rozbawione, rozdrażnione, rozpustne twarze kobiece, a nasmarowane karminem usteczka szeptały:

— A to się urżnął!...

On zaś upatrzył sobie jedno wielkie usta i pragnienie pocałunku skojarzyło się w jego umyśle z nadzieją, że te usta wetchną w jego płuca nowy, wielki zasób świeżego powietrza. Nie mógł się dźwignąć, wyciągnął tylko ręce, zwinął wargi



w dzióbek, cmokając śmiesznie, poderwał się wreszcie, westchnął i upadł bez przytomności w ramiona kobiet bezczelnych w jednym z najbardziej szalonych lupanarów tego miasta.

Pisane w styczniu 1897.

## OKNO.

W pewien wieczór wiosenny ulicą do Kilińskiego parku wiodącą szedł młody człowiek. Celem, a raczej pretekstem jego spaceru był park, w którym spodziewał się obmyślić lepiej kilka przejęć muzycznych w swojej niedawno skomponowanej sonacie. Był to bowiem kawałek muzyka. Tą samą ulicą szło dużo pań i panien, w modnych estetycznych sukniach; prawie wszystkie wydawały mu się pięknymi, prawie w każdej gotów był się zakochać, gdyby nań która choć okiem mrugnęła. One to ciągnęły go za sobą jakby magnetycznie; a on dawał się porywać temu miłemu prądowi, i szedł za niemi, jakby za zapachem niewidzialnych fiołków.



Wtem nad sobą w otwartem oknie mieszkania parterowego ujrzał dziewczynę — lecz miał czas tyle tylko na razie stwierdzić, że była ładną blondynką i że się nad czemś zamyśliła, gdyż oko jego — w chwili gdy koło niej przechodził — sięgnęło zaraz machinalnie poza nią i zobaczyło głąb dużego eleganckiego salonu. Minawszy okno, dopiero na zakręcie ulicy uprzytomnił sobie, że tem, co go w postaci owej dziewczyny szczególnie uderzyło, był niezwykle sposób, w jaki oparła głowę na dłoniach, tak, że oczy jej nie patrzyły na ciżbę ludzi, lecz jakby w tak zwaną poetycznie »dal« bez śladu pospolitej ciekawości. Byłóż to jednak tylko przypadkiem? Aby to sprawdzić, musiałyby wrócić... Zawstydził się jednak swojej ciekawości i szedł znowu naprzód, potem przecież powrócił, podszedł ku owemu oknu, lecz swojej nieznanym już w niem nie zastał.

Wzruszywszy ramionami na znak obojętności, poszedł dalej swoją drogą, a przybywszy do parku, spacerował po odległych

ścieżkach przeszło godzinę. Udało mu się upolować upragnioną melodyę — był nią zachwycony, duma i energia nim wstrząsnęły.

Poszedł potem do części parku bardziej wypełnionej publicznością, lecz postyszawszy zdaleka orkiestrę, grającą w restauracji, oddalił się jak najprędzej w obawie, żeby mu ta muzyka nie zamąciła i nie spospolitowała dźwięków krystalizujących się w jego własnej duszy.

Chciał jak najprędzej spisać je przy fortepianie i postanowił wrócić do domu. Wracając, wybrał naturalnie tę samą drogę, którą przyszedł, ot, żeby ewentualnie mieć w drodze urozmaicenie. Przez urozmaicenie zaś miał na myśli właśnie to okno z piękną nieznajomą, choć zresztą wcale o niej nie marzył. I byłby może przeszedł teraz obok okna bez uwagi, gdyby nie to, że było ono jeszcze otwarte, a w odróżnieniu od innych okien parterowych w pobliżu, które były światłem, w tem właśnie było ciemno.

Zatrzymał się na chwilę. W głębi sa-



lonu ciemność przechodziła w mrok, gdyż przez otwarte drzwi wpadało światło z dalszych pokoi. Ktoś grał na fortepianie. »Widocznie zamożni ludzie« — pomyślał sobie kompozytor, patrząc na wierzchołki, rozstawionych koło okna egzotycznych roślin i wsłuchując się w dźwięk fortepianu. »Cudowny instrument, nadzwyczajny!« — stwierdzał dalej, nie zdając sobie sprawy z tego, że może tylko szczególne podniecenie, w jakim się znajdował, tak optymistycznie jego zwykle surowe sądy. Zdawało mu się także, że ten, co grał, gra »sympatycznie«, — bał się sądzić o jego grze surowiej, bo mogła to być przecież »ona«. Zaczął już nawet dosłuchiwać się »miękkich kobiecych odcieni«; wtem gra ustała, a grająca osoba widocznie oddaliła się, jednak tak jakoś cicho, że wydało mu się jeszcze więcej prawdopodobnym, iż to była owa urocza blondynka.

Gdy tak stał na trotuarze, zrodziła się w nim nagle nieopisana chęć: wdrapać się do tego salonu przez otwarte okno, zasiąść do tego precudnego instrumentu

i zagrać dla »niej« swoją sonatę. Na samą jednak myśl o tem, serce gwałtownie bić mu zaczęło, przeraził się własnej zuchwałości i uciekł, lecz potem im bardziej oddalał się od okna, tem mniej bezsensowym i aroganckim wydawał mu się powzięty dopiero co i zaraz porzucony zamiar. »Ostatecznie, w najgorszym wypadku — myślał sobie — powiem, że nie mogłem się oprzeć chęci spróbowania instrumentu, oni zaś — jeżeli pojawią się tam jacyś oni — powiedzą, że waryat, oryginał. Oświadczę im wesoło: »możecie mnie wyrzucić napowrót przez okno« i oddam im się na łaskę i niełaskę«. Zresztą dość ufał swojej wirtuozowskiej sile i gotów był nią w razie potrzeby za imponować. Wkońcu powiedział sobie: »Wróć, a jeżeli zobaczę, że okno jeszcze niezamknięte — będzie mi to znakiem, że mam wejść«.

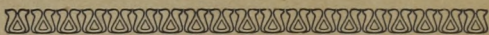
Zawrócił więc znowu z drogi, a idąc ku owemu oknu, oddalił myśl o grozie przedsięwzięcia w ten sposób, że wyobrażał sobie, jak będzie dotykał klawiszy,



muskanych przez jej paluszki; zdawało mu się nawet, że nie dotknie bezpośrednio samej klawiatury, ale najprzód jakiegoś niewidzialnego szkliwa, że jego palce wgrzęzną mu niby w odrębne jej fluidum i omotają się jak pajęczyną tem, co ona tu nad klawiaturą rozsunęła, a z czego on będzie mógł poznać jej myśli.

Doszedł do okna — było otwarte. Z bijącym na nowo sercem rozważał jeszcze raz swoje postanowienie, poczekał chwilę, aż przejdzie grupa ludzi nadchodzących ze strony przeciwnej. Zimno go owionęło; zapiął więc mocno tużurek na wszystkie guziki, robiąc to jeszcze w tym celu, żeby mu nie przeszkadzał we włożeniu na okno. Opiąwszy się, uczuł się gibkim i zwinnym, i natychmiast, skoro tylko owi ludzie znikli mu z oczu, wdrapał się na okno i przelazł prędko na drugą stronę, nie zostawiając sobie ani chwili czasu do zawahania się.

Szczęściem jego było, że nie poprzewracał postawionych koło okna wazonów, szczęściem też było, że ani w salonie, ani



w sąsiednim pokoju, w którym świeciła się lampa na stole, na razie nie było nikogo. Mimo to po takim wysiłku odwagi ogarnęła go teraz obawa; stał wciąż jeszcze przy oknie, aby natychmiast uciec w razie, gdyby kto drzwi otworzył. W istocie też fakt, że dwa pokoje były puste, musiał być wyjątkowym; najpewniej część mieszkańców wyszła była z domu, może do teatru lub gdzieindziej. Może i jej nie było? Ktoś jednak być musiał, skoro się lampa paliła.

Wtem blisko coś zaszeleściło i owinęło mu się około nóg. Był to kot, który otarłszy się o niego, wskoczył na krzesło, stojące przed otwartym jeszcze fortepianem, cicho łapkami przebiegł po klawiszach, budząc kilka dysonansów, a potem wlaź na wierzch fortepianu, gdzie się usadowił na miękkiej poduszeczce i mrużyć zaczął. Jakby zachęcony przez kota, młody kompozytor zbliżył się do instrumentu i dotknął palcami klawiszy, ale bał się ich przycisnąć. Jego sonata wydała mu się teraz zbyt marną, żeby się



nią popisywać jako czemś niesłychanem. Przebierał więc tylko lekutko palcami po klawiszach, tak że zaledwie brzęczały: chciał się rozpędzić, roznamiętnić...

Tymczasem drzwi w sąsiednim pokoju skrzypnęły. Natychmiast uskoczył w bok i zmiarkowawszy w jednej chwili, że nie wykona szybkiego odwrotu przez okno bez przewrócenia wazonów, schował się do ciemnego kąta, przykucnął tam za krzesłem i robił sobie wyrzuty, że skoro już wlaźł, to dłaczegóż zaraz grać nie zaczął.

Osoba, która go tak spłoszyła, wzięła ze stołu lampę i weszła z nią do salonu. Była to właśnie ta sama dziewczyna, która wyglądała oknem. Postawiła lampę na małym stoliczku tuż obok krzesła, za którym schował się kompozytor, otworzyła kluczem szufladkę i zaczęła szukać. Wtem spostrzegłszy, że okno jeszcze otwarte, zamknęła je i wróciła do stolika szukać dalej. Wyjmowała jakieś papiery czy listy i przerzucała je.

Kompozytor uczuł się złapanym w nie-  
miłą pułapkę, w którą wlaźł samochcąc.  
W tej chwili wszystko mu się innem wy-  
dawać zaczęło. Przedewszystkiem dziew-  
czyna przestała być dlań uroczem zja-  
wiskiem; owszem myślał sobie, że to  
najpewniej pospolita, głupia panna, która  
go strasznie zbeszta i za drzwi mu wyjść  
każe. Mówił do niej w duchu: »A idźże  
już raz do dyabła, a ja sobie buchnę  
przez okno, aż się za mną zakurzy«.  
Zastanowiło go jednak to, że dziewczyna  
chwilami listy prędko napowrót wsuwała  
w szufladkę, jakby w obawie przed kimś,  
co mógł wejść lada chwila, potem zaś  
uspokoiwszy się, szukała dalej. Znalazła  
wreszcie jakiś papier, przeczytała, zmięta,  
schowała za gors, lecz zaraz potem prze-  
czytała raz jeszcze i podarła na drobne  
kawałeczki, jakby w największej irytacji.  
Potem zaniósła lampę napowrót do dru-  
giego pokoju, wróciła do ciemnego salonu  
i ukląkłszy przed jednym z foteli, niedaleko  
schowku kompozytora, zaczęła gorzko  
płakać.



Fakt taki zdolen był w innych warunkach wzruszyć kompozytora do głębi; w tym wypadku jednak neutralizował tylko w drobnej części jego kłopotliwą sytuację i niecierpliwość, wywołując w nim coś jakby zaciekawienie i litość. Ta ostatnia jednak wzbierała w nim coraz bardziej, gdy słuchał cichego płaczu dziewczyny. Pomyślał sobie, że gdyby mógł być pewnym, iż ta panienka ma duszę podobną do dziewczyny z I. części »Dziadów«, mógłby się teraz nad nią pochylić i po prostu ująć w ramiona, narzucić się na pocieszyciela, którego może w tej chwili myślami przywołuje. Atoli wstrzymała go — oprócz naturalnej bezpośredniej trwogi — także myśl, że może to był list od jakiegoś »niego«, np. narzeczonego, a w takim razie on odegrałby w tej sprawie tylko rolę śmiesznego intruza. Bądź co bądź jednak mógłby teraz oto pochylić się nad nią i naprzykład tylko pogłaskać po włosach, powiedzieć: »nie płacz«, a gdy ona się zdziwi, wytłómaczyć jej wszystko, powiedzieć całą prawdę, tembardziej że mógł

liczyć na pobłażliwość u osoby, będącej w takim usposobieniu. Mógłby nawet, gdyby jej pierwsze słowa były po temu, zabawić się w »tajemnicze zjawisko«, ale musiał to prędko uczynić, póki ktoś trzeci nie wejdzie... Wahał się.

I rzeczywiście, ktoś otworzył znowu drzwi w drugim pokoju i jakiś głos kobiecy zawołał:

— Zosiu!

Zosia milczała.

— Zosiu! czyś nie widziała gdzie mego kluczyka od szufladki w saloniku?

— Nie widziałam.

— Kłamiesz! Wzięłaś mi go!

Zosia zerwała się, wyjęła kluczyk z szuflady i krokiem energicznym poszła do drugiego pokoju.

— Skradłaś mi go! — krzyknął ów drugi głos kobiecy.

Kompozytor wstał i zdaleka patrzył na tę scenę. Kobieta, która tak szkaradnie posądziała Zosię, była damą starszą od niej, może matką lub ciotką.

— Tak jest, skradłam go! — rzekła



Zosia, rzucając kluczyk na stół — a mama mi jego ukradła!

— Co? co? tak mówisz do matki? masz za to! — krzyknęła starsza dama i uderzyła Zosię w twarz. Zosia cofnęła się, cała w ogniu, a potem zachwiała się i osunęła na krzesło, jakby blizka zemdlenia. Jej matka, czy też macocha — kompozytor różnie się potem domyślał — przestraszona tym widokiem, cofnęła się i wyszła, trzasnąwszy drzwiami. W tej chwili mimowolny świadek tej sceny ujrzał, że w pokoju sąsiednim są jeszcze inne drzwi tapetowane w ścianie, trochę uchylone, przez które szło się — być może do kuchni. Te drzwi przeznaczył sobie w duchu na drogę szybkiej ucieczki, czekał tylko jeszcze, co Zosia ze sobą zrobi.

Zosia siedziała podparta na stole, po jej twarzy ciekły łzy. Zaciskała dłońmi skronie i mówiła po cichu:

— Ach! Ach!...

Potem zawzięcie tłumiła łkanie, oparła głowę na lewej tylko dłoni i patrzyła przed siebie.

Wówczas stojącemu już blisko progu kompozytorowi strzeliła do głowy myśl dzika. Nie wypadało mu przejść koło tej bolesnej postaci szybko i ukradkiem, jakby po złodziejsku, lecz należało dostroić się jakoś do sytuacji. Litość jego nad Zosią, wysnute z jej powodu przedtem romantyczne fantazyje, oraz jego własna niezwykła sytuacja i konieczność dalszej zuchwałości, połączyły się w nim teraz w jakiś jeden uroczysty nastrój. Stał w progu nie kryjąc już swojej osoby i założył ręce na piersiach, wyprostowawszy się. Lecz całej tej pozy Zosia nie widziała.

— Przejdę obok niej jak duch! — pomyślał sobie w tej chwili kompozytor.

Pochyliwszy nieco głowę, przybrał wyraz twarzy niezmiernie smutny i ponury, i patrząc nieruchomo w ciemny kąt pokoju, jakby w miejsce, w którym miał zniknąć, szedł ciężkim krokiem, nie spiesząc się zbyt, ku drzwiom tapetowanym.

Zosia mimo łez w oczach spostrzegła go i, podniósłszy raptownie głowę, krzyknęła:



— Kto tu jest?

Gdyby Zosia nie stała za stołem, byłby może w tej chwili albo jaką chustką głowę jej nakrył, albo całusami usta jej zamknął, bo sytuacja stała się nagle bardzo groźną. Porzucił rolę ducha, skoczył do stołu, położywszy palce na swoich ustach, rzucił przestraszonej Zosi hipnotyzujące »pst!«, zgasił lampę i w okamgnieniu wypadł przez drzwi tapetowane, zamykając je na klucz za sobą. Był teraz nie w kuchni, ale w pokoju, w którym przy stole bębnił lekcję zawzięcie jakiś student w mundurku. Zobaczywszy gościa student zerwał się, zrobił gest, jakby się chciał ukłonić, kompozytor kiwnął mu głową, rzucił mu znaleziony teraz przy wyjmowaniu kapelusza z kieszeni afisz przedstawienia w Colosseum i wyleciał czempredzej przez drugie drzwi, które na szczęście prowadziły wprost na korytarz.

Tak wyswobodziwszy się z pułapki, miał jeszcze na tyle bezczelności, czy też niepotrzebnego wyrachowania, że dla zmylenia pogoni, zamiast szukać wyjścia z ka-

mienicy, wbiegł na jakieś schody prowadzące na pierwsze piętro, tam zatrzymał się, widząc, że już światło na tych schodach zgaszono, i czekał. Zaraz wybiegł ktoś na korytarz, może ów student, i popędził dalej, zapewne na ulicę, potem wszczął się jakiś harmider, trzaskanie drzwiami, biegania. Student wrócił z niczem, a widząc w podwórzu stróża, wychodzącego w celu zamknięcia bramy na noc, pobiegł ku niemu i zaczął wypytywać:

— Czyście nie widzieli? był u nas jakiś złodziej, ale uciekł.

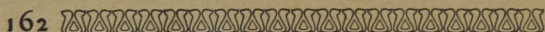
Stróż gderał coś pod nosem i kulejąc na prawej nodze, poszedł zamykać bramę, kompozytor zaś po oddaleniu się studenta, zbiegł ze schodów, niby jako zamieszkały na którymś piętrze lokator, minął stróża, wypadł przez otwartą jeszcze bramę na ulicę i wreszcie odetchnął swobodnie.

Od tego czasu jednak podpatrzona w owym domu scena nieraz jego myśl zaprzętała. Niebezpieczeństwa swego nie pamiętał, natomiast żałował, że wobec Zosi nie zachował się jakoś inaczej.



Chodził nieraz popod okno, ale albo zastawał je zamkniętem, albo — gdy było otwarte — nie można było wejść do środka, bo w salonie zawsze znajdowało się liczne towarzystwo, a zresztą nie mógł już drugi raz zdobyć się na takie szaleństwo. Na razie nie chciał wypytywać o nazwisko rodziny, która tam mieszkała, bo to znaczyłoby być niedyskretnym, lecz spodziewał się ujrzeć jeszcze kiedy Zosię w oknie lub na ulicy. Kochał się w niej kilka dni, a sonatę swoją poświęcił »nieznajomej«. Wkrótce potem wyjechał uczyć się do egzaminu państwowego, a Zosia wyleciała mu z serca i pamięci; gdy zaś wrócił do Lwowa i szukał jej, powiedziano mu, że »ci państwo« się wyprowadzili. Dalej sobie trudu nie zadawał.

W rok potem spotkał ją raz w pewnym towarzystwie. Była ze swoim narzeczonym. Przedstawiono jej kompozytora, lecz nie poznała go wcale. To go nieco zabolalo i podnieciło. Nieproszony zasiadł do fortepianu, zagrał ową sonatę, a potem rzekł:



— Ta sonata poświęcona jest pewnej nieznajomej osobie, za pokazanie mi łoż. Wiąże się z tem dość zabawna historia, którą mogę opowiedzieć — jeżeli panie i panowie pozwolą. Zauważam jednak z góry, że nikt z obecnych nie powinien jej brać do siebie; rozmyślnie bowiem zmienię w opowiadaniu kilka głównych szczegółów.

— Dlaczego? Nie zmieniaj pan nic!

— Kto wie? być może iż nie zmienię, to już tylko ona będzie wiedziała.

— Więc zaczynaj pan!

I autor sonaty zaczął opowiadać:

— W pewien wieczór wiosenny...

15 kwietnia 1901.



## METAMORFOZY MOJSKIEGO.

Po rozmaitych daremnych próbach pogodzenia się ze światem Mojski splunął, wyprowadził się do miasta, gdzie go nikt nie znał i zaczął pędzić życie samotne. A ponieważ swego czasu spotkał się parę razy z zarzutem, że jest egoistą, i sam siebie miał w podejrzeniu, że nim jest w istocie, postanowił zanurzyć się całkiem w uczucie egoizmu.

Kazał sobie zrobić lałę, zupełnie do siebie podobną, ubrał ją w suknie takie, jakie sam zwykle nosił, urządził dla niej w swoim pokoju rodzaj namiotu, od którego zasłonę mógł każdej chwili odchylić. Tam to w fotelu na kółkach rozpierał się ze wspianiałym wyrazem dumy i pogardy świata pan Mojski nr. 2 i wyręczał w wy-poczywaniu swego żywego kolegę, który

wiecznie pracował nad najnieproduktywniejszemi w świecie rzeczami.

Takim był stały, niezgłoszony jednak na policyi współlokator Mojskiego. Zachowywał się przyzwoicie, był niewymagający i spokojny. W nagrodę za to o pewnych porach przypuszczany był przed oblicze swego pierwowzoru. Mojski otrząpywał go pióropuszem z prochu, nadawał jego rękom i nogom pozycję bardziej pokorną i przysuwał go do stołu, na którym paliła się lampa. Odczytywał mu swoje utwory i cieszył się jego milczącym uznaniem, urządzał mu wykłady, rozwijał przed nim swoje teorie. Od czasu do czasu domyślał się trafnych, a głębokich zarzutów swego sobowtóra i zafrasowawszy się niemi, usiłował je odpiierać. W ten sposób omawiał z lalą różne sprawy polityczne, społeczne i literackie i nieraz był zdziwiony i przerażony nowością i demonicznością punktów widzenia, które z wnętrza Mojskiego nr. 2 wysnuwał.

Nie odrazu jednak żywy Mojski poznał się na właściwej wartości swego towarzysza.



Z początku wydawał mu się on czemś zupełnie obcem, i dopiero po częstem porównywaniu go ze swoim obrazem odbitym w lustrze, przyszedł do przekonania, że to on sam. Nadto nędzny materializm codziennego życia podsuwał mu wciąż pospolite złudzenie, że ma do czynienia tylko z manekinem, zrobionym z białego kauczuku, wypełnionego wewnątrz trocinami, a kupionym za 500 fr. bez kosztów transportu, cła i opakowania. Dopiero kilkakrotna obecność przy operacjach i sekcyach przekonała go, że jeżeli to cudackie zwierzę z mięsa, krwi i kości, zaszyte w skórę ludzką, ma być substratem ducha, to równie dobrze może nim być — albo nie być — jakakolwiek inna materya. I wtedy nie ulegało wątpliwości, że nieruchomy, obojętny, lekceważący wszystko Mojski nr. 2 reprezentuje lepiej upragniony ideał prawdziwego Mojskiego, niż urzędowa jego objektywacya, szamocząca się w przestrzeni i czasie, a skazana na śmierć nieodwołalnie.

Dlatego Mojski nabrał wielkiego uszanowania dla swego sobowtóra, nazywał go przyjacielem i bratem. Wypowiadał się przed nim z całego życia, zwierzał mu się z najskrytszemi myślami, stawiał go sobie za wzór, a w końcu wywłaszczył siebie ze swego »ja« i przeniósł je na manekina, zostawiając sobie tylko cząsteczkę tego skarbu w postaci skromnego, dziecinnego »on«. Pytając więc np. manekina o radę, mówił: »on się pyta, co ja myślę«, »on jest głupi, ja jestem mądry«, »on podziwia moją apatyę« i t. d. To przesunięcie się osobowości miało ten skutek, że Mojski żył i czuł już tylko jako trzecia osoba, podczas gdy jego kauczukowe »ja«, mające go za podnózek, gdzieś tam w czwarty wymiar rozrastało się i olbrzymiało, zawadzając swobodnym ruchom Opatrzności.

Tak żyli obaj razem, pan i sługa, wznośząc się w coraz wyższe misterya pogardy dla świata. »On« dostarczał »mi« materiału. I tak ile razy przyszedł do Mojskiego ktoś obcy, wikłał go Mojski w rozmowę, wśród której zachowywał się



tak, jak się zachowujemy wtedy, gdy dialogu słucha uważnie trzecia osoba; uśmiechał się tajemniczo i porozumiewawczo spoglądał w stronę zasłony namiotu — tam zaś ten ukryty manekin podsłuchiwał rozmowę i napawał się głupotą i szelmostwem, rzekomo bijącym z odpowiedzi, jakie niepodejrzrywający tej wyższej krytyki przybysz dawał na zdradliwie naiwne pytania Mojskiego.

Innym razem sam zamówił sobie dziewczynę, która przyszedłszy, zaczęła się umizgać i przymilać do wysuniętej na środek pokoju lali. Milczenie i bezwładność siedzącego na fotelu pana z początku nie zraziły dziewczyny, myślała, że to taki klient, który z żartów chce udawać umarłego, aż gdy jej umizgi stały się więcej obcesowymi, przestraszyła się nagle, wydała krzyk przeraźliwy i wybiegła. Ukryty podczas tej całej sceny w namiocie Mojski puścił się za nią w pogoń, aby jej wręczyć pieniądze, czem jeszcze bardziej przestraszył dziewczynę, która była pewną, że to ten martwy jegomość z fotelu wstał

i ściga ją, aby ją zawlec do piekła. Przybywszy do domu rozchorowała się, wyzdrowiała, odprawiła pokutę i została siostrą miłosierdzia.

W jasne letnie dnie przewietrzył Mojski swoje »ja«: wywoził je na balkon, ubrane w kapelusz Panama, z laseczką w rękach, układał je w pozycję niedbałą, założywszy mu nogę na nogę, a potem zachwycał się wspaniałe szyderczą miną swego sobowtóra, który patrząc na domy miasta, na ludzi w ulicach, na fragmenty zachodu słońca widzialne wśród drzew i murów, raczył to wszystko ignorować.

\* \* \*

Stało się jednak, że okoliczności zmusiły Mojskiego do wyjazdu na kilka miesięcy i do pozostawienia siebie, a raczej swojej lali w zamkniętym mieszkaniu. Stosunki obu nierównych połówek Mojskiego przez ten czas dość się rozluźniły, gdyż niewdzięczny sobowtór nie miał zwyczaju odpowiadać na listy, które do niego »on«



z początku pisywał. Po powrocie Mojskiego stosunki te bynajmniej się nie poprawiły i Mojski nr. 2 miał najśluszniesze powody być zdziwionym i niezadowolonym z postępowania współnika swojej osobowości. Bo jeżeli przez czas swej nieobecności w domu żywy reprezentant firmy Mojskich przeżył jakieś wypadki, wskutek których zwierciadło jego pogardy obróciło się o kąt  $180^\circ$  i zamiast światu zaczęło mówić prawdę jemu samemu, to cóż temu był winien Mojski kauczukowy, który owej podróży tak stanowczo przeciw odradzał?

Dawny sługa zbuntował się przeciwko swemu panu i zdetronizował go; serdeczne »ja« zostało zmienione na zuchwałe »ty«, chociaż to był zawsze jeszcze ten sam arcy-Mojski, to samo jego »ja«, tylko że ex-on nie chciał się już z tem »ja« solidaryzować. Wybuchła między nimi otwarta walka, różną bronią prowadzona. Mojski nr. 1 kładł na cięciwę swojej nienawiści jedną za drugą zatrutą strzałę wyrzutów sumienia i bezlitośnie trafiał nią niby

w samo serce najulubiejszego »ja«, lecz Mojski nr. 2 połykał te strzały wyniośle milcząc i pokazywał, że mu się nic nie stało. Gdy Mojski pierwszy rozpaczął, bił się w piersi, płakał i wyrywał sobie włosy, Mojski drugi drwił sobie z niego, przyjmował wszystko na siebie i zakuwał się szczelnie w cynizm.

— Jesteś zdolny do wszystkiego złego, niema nikczemniejszego człowieka na świecie od ciebie! — zawyrokował Mojski.

Wstrząsnął nim wstręt okropny, a przez umysł jego przebiegały plany zbrodni, które mógł wykonać.

Posłyszał bicie dzwonów, wyszedł na ulicę i wstąpił do kościoła, gdzie dokoła kazalnicy zgromadził się ogromny tłum ludzi. Rychło wiara i zapał kaznodziei zaczęły nań oddziaływać, porwała go fala ogólnego zachwyty, uczuł łzy napływające do oczu i pochylił czoło. Wtem, gdy podniósł głowę, ujrzał na jedno mgnienie oka wśród tłumu szyderczo wykrzywioną twarz swego manekina. Twarz znikła, ale na jego duszę położył się cień wstydu.



Zawrzał gniewem i postanowił się zemścić. Wszakże wiedział, jakie nieczne zamiary knuł w tej chwili jego sobowtór, napierając się o ich wykonanie; jedna chwila, a mógł popełnić czyn, na który zasłużył. »Ach, jakież on podły!« rzekł w sobie Mojski. Zgroza ścisnęła go za gardło, dławiła go; obraz możliwego, obcego czynu wypełnił i przygniół go jak zmora; zdawało mu się, że wkrótce będzie cały tylko jedną podłością. »Pali się!« wrzasnął, uwalniając się nagle. W kościele natychmiast zakłębiło się, okrzyk szedł z ust do ust, ludzie zaczęli się cisnąć, wołać ratunku, zamienili się w trzodę bydła. Kilkanaście osób udusiło się, jedną przygnieciono na śmierć do ściany, dwoje dzieci stratowano w popłochu, a potem o mało nie zlynchowano jakiegoś niewinnego człowieka, w którym gwałtem upatrywano sprawcę fałszywego alarmu.

Mojski wrócił do domu z bijącym sercem, a wytoczywszy lalę na środek pokoju, zawołał:

— Jesteś łotr!

I wymierzył mu siarczysty policzek, a następnie wyrwawszy mu kij z ręki bił go po całym ciele, aż zmęczony padł na łóżko i zasnął.

Śniło mu się, że lala siada przy nim na łóżku i mówi:

— A widzisz osłe, zmęczyłeś się. Uwważ tylko na drugi raz, bo mnie całkiem popsujesz; kauczuk nie jest taki wytrzymały, jak się tobie zdaje. Tym razem nic mi nie szkodzi; wytrzepałeś mi tylko suknie, których mi już i tak oddawna nie czyściłeś. A z tego popłochu w kościele nic sobie nie rób. Ludzkie bydło samo sobie winno. Kaznodzieja wzywa ich do miłości bliźniego, do świętej zgody, wskazuje na dobra przyszłe, na życie wieczne, pobożni słuchacze rozdziawiają gęby, kruszą się, płaczą — ale wystarczą dwa magiczne słówka, aby ich zamienić w bydło samolubów, z których każdy tylko o sobie myśli. A czyś widział jak w tym ścisku złodzieje się obłowili? ile tam portmonek wyciągnięto? A czyś widział tę inną interesującą grupę: jak wśród ścisłu jacyś



dwaj młodzieńcy piękną panią burmistrzową objęli, suknię jej podnieśli i wołali także: »pali się!« Żałuj idyoto, że ty jednym z nich nie byłeś!

— Podły! podły! — mruzczał Mojski przez sen.

— Bądź zdrow osiołku boży! Bądź zdrow i miej na temat pani burmistrzowej sen rozkoszny! Taka będzie moja szlachetna zemsta!

Nachylił się nad śpiącym, dał mu lekkiego szcztuka w nos i wrócił na swoje miejsce w namiocie.

— Podły! — powtórzył jeszcze raz Mojski i westchnął przez sen głęboko.

\*  
\*

— Zanim jeden z nas zginie, zabłyśniesz jeszcze raz w pełnej aureoli cynizmu — rzekł nazajutrz Mojski do swego manekina. — Będziesz potem wzięty w niebołotrów, bo ja nie zawaham się w twojem imieniu położyć na kartę ostatnią stawkę. Mogę ci tego odmówić? Przecież jesteś

wolnym człowiekiem. Czyń, co ci się podobą; ja ze zgrozą idę za rydwanem twoich tryumfów szatańskich i załamując ręce, wołam: biada!

Była pewna tajemnica polityczna, którą powierzono Mojskiemu, tajemnica ogromnej doniosłości, od której zależało nie tylko życie pewnej grupy osób, lecz i powodzenie planu, mogącego mieć kiedyś dobroczynne następstwa o niesłychanej doniosłości. To była ostatnia stawka Mojskiego w jego grze z sumieniem.

Zasiadł do napisania decydującego listu i najpierw długo i spokojnie patrzył w twarz swemu sobowtórowi.

— Więc chcesz to koniecznie uczynić? — rzekł wreszcie tonem łagodnej perswazyi. — Chcesz to uczynić bez żadnej dla siebie korzyści, bez żadnej zewnętrznej potrzeby? jedynie dla szalonej, bezrozumnej igraszki? Każ sobie przynajmniej dobrze zapłacić, nie daj się oszukać jak Judasz.

— Tak, każesz sobie dobrze zapłacić — odpowiedział po chwili w zastępstwie lali. — Za to pojedziesz do kąpiel, do



Monte Carlo, kupisz sobie harem u sułtana. A więc dyktuj!

I pisał zamagnetyzowany wołą manekina, pisał spokojnie i wsłuchiwał się, jak gdzieś na odległych polach jego wyobraźni z hukiem gromów zapadają się gmachy przyszłości.

List wziął posłaniec, a gdy wyszedł, Mojski milcząco położył na stole przed manekinem nabity rewolwer i czekał. Za kilka godzin przyniesiono mu paczki pełne banknotów, którymi Mojski natychmiast zaczął napychać wszystkie kieszenie swego sobowtóra.

— Tak, jesteś sowicie zapłacony i możesz wyśmiać Judasza. Ale teraz, mój przyjacielu, ze mną sprawa. Przepełniła się miara twych zbrodni, niema dla nas dwóch miejsca na świecie. Sądzę, że nie będziesz miał nic przeciw temu, że zapropnuję ci pojedynek amerykański.

— Do twego cylindra oto wrzucam dwie kule: białą i czarną. Wybieramy...

— Twoja czarna. Egzekucya nastąpi zaraz.

Wycelował broń i po chwili kula rewolwerowa prześwidrowała głowę manekina, widocznie nie robiąc mu wielkiej przykrości.

Wtedy Mojski wpadł w szał. Rzucił się na swego kauczukowego sobowtóra, obalił go na ziemię, a wyobraziwszy sobie, że ten się broni, młotować go zaczął. Miał zaś nad nim stanowczą przewagę. Wydrapał mu najpierw oczy, potem włożył mu pięść w usta i rozdarł je, i pastwiąc się dalej nad bezbronnym, podnosił go kilka razy i tłukł jego czaszką o ziemię, i tak zrobiwszy kilka otworów w skorupie, roztargał go na kawałki, wysypując zawarte wewnątrz rdzenne »ja« sobowtóra w kształcie trocin.

Po tej egzekucyi uspokoił się, kopnął trupa i położył się spać. Śnił mu się najpierw śmiech, skombinowany z przesywaniem się trocin; za tym śmiechem pędziło stado byków, wprost naprzeciwko niego, Mojskiego, grożąc mu przebicciem rogami lub stratowaniem. Lecz on w chwili, gdy pierwsze byki już go dosięgały, sko-



czył w górę i zawisnął w powietrzu tuż ponad groźnymi rogami i tak już płynął bez przerwy, podbijając się coraz to wyżej.

\* \* \*

Nazajutrz plakaty ogłosiły miastu, że Mojski umarł. Mojski sam ułożył trupa w trumnie, wypełnił go pieniędzmi i zamknął trumnę. Ze sprytem właściwym wariatom, którzy chcą przeprowadzić aż do końca swoją *idée fixe* uniknął obdukcji zwłok i obudził w ludziach mniemanie, że nieboszczykiem jest może jego brat, lub inny krewny. Nim oddał trumnę na karawan, gorzko i szczerze nad nią zapłakał, ale potem tylko rzewna lekkość, bliska wesołości zapanowała w jego sercu.

Tony pogrzebowej muzyki, którą zamówił dla swego ś. p. »ja«, wywoływały w nim uczucie nadchodzącego odrodzenia, uczucie narastania nowego »ja«, przypominały mu pęknięcie lodów na wiosnę. Osłabiony jednak był jeszcze i senny i dlatego kroki jego wydawały się jużto krokami podrygującego tancerza, jużto

zataczaniem się rekonwalescenta. Miał wrażenie, jakby szedł w zmierzchu ku jutrzence, jakby gdzieś w pobliżu jego stóp pluskała jakaś niewidzialna woda, wylewająca się z nieznanych rezerwoarów, lecz rozmiarów tych zmian ocenić nie potrafił. Stan jego był może podobny do stanu, w jakim się po operacji znajdował ów dziwny człowiek, który przez kilkanaście lat życia był żywą trumną, bo w garbie na plecach nosił w plecionce z włosów swego martwego brata bliźniaka.

Gdy stanęli nad otwartą mogiłą, zabrał głos, aby pożegnać jeszcze raz zmarłego, do którego już nie czuł najmniejszego żalu. W mowie pogrzebowej opisał całe jego życie, podniósł jego zalety, ale także — nie stosując się do zasady: *de mortuis nil nisi bene* — napiętnował jego zbrodnie, potworne zbrodnie! Wyliczał je bez zająknięcia, trzymając ciężki kamień w rękach, którym chciał cisnąć w trumnę.

Tymczasem szmer tłumy naokoło niego rósł, padały słowa i wykrzyki, których nie rozumiał, zapatrzony w rwący się



w jego własnej duszy potok słów szalonych i wzniosłych, które musiał wygłaszać.

Kilka rąk pochwyciło go, lecz oswobodził się i spojrzął w tłum. Tak, nie ulegało wątpliwości, było to stado byków. Wyłamał krzyż z najbliższego nagrobka i zaczął się nim opędzać, a potem dał kilka susów między najbliższe groby. Goniono za nim, on się wymykał gwałtownymi susami, wciąż usiłując odnaleźć w sobie ów dziwny stan lekkości, który mu się śnił zeszłej nocy.

I gdy naprzeciwko siebie ujrzał znowu postacie zabiegające mu drogę, nie zwrócił się w tył, lecz pochyliwszy się, wykonał szalony skok, niby ponad tłum.

— Patrzcie, patrzcie, skacze jak pchła! — zawołał któryś z prześladowców.

Te przypadkowe słowa odrazu skryztałizowały w Mojskim ferment psychiczny, który się w nim już od rana przygotowywał, i ścięły jego narastające nowe »ja« w niespodziewaną postać.

— Tak, jestem teraz pchłą! — oświadczył z dumą. — Tak chciało przeznaczenie.

I wykonał znowu kilka skoków, demonstrujących to nowe wcielenie jaźni.

Wykonywa je teraz dalej niestrudzenie w domu obłąkanych, utrzymując, że człowiekiem po którym skacze, jest cała ziemia, która znowu nie jest także niczem innym, jak tylko wielką pchłą. Ma się bardzo dobrze, cierpi tylko niewystowione męki, gdy który z towarzyszy lub dozorców ze swawoli posypie go proszkiem perskim; a sam już widok rozpylacza lub charakterystyczny gest wielkim i wskazującym palcem, używany przy mordowaniu tego biednego stworzenia, napawa go panicznym przestraczem.



## OD AUTORA.

Prawie wszystkie zawarte w tym tomiku nowelle napisałem w zeszłym stuleciu; to niechaj łaskawie uwzględni czytelnik, który je będzie krytykował. Ale »uwzględnić« nie znaczy to »mieć wzgląd«: proszę nie o pobłażliwość lecz tylko o to, by z tych utworów nie wysnuwano wniosków o moich dzisiejszych zapatrywaniach literackich. Tyczy się to zwłaszcza rzeczy p. t. »Czem jest Horla?« Umieściłem ją przed »Małżeństwem Maran« jako próbkę fermentu duchowego, z którego urodziła się ta nowella, a zarazem jako (nb. subiektywne) usprawiedliwienie drastycznych ustępów nowelli. Co prawda z obawy przed cenzurą urzędową i nieurzędową musiałem okroić i zmienić owe ustępy tak, że właściwie już usprawiedliwienia nie potrzebują; i w ten sposób »Małżeństwo Maran«, które swego czasu jedno

z najpoważniejszych niemieckich czasopism literackich (*»Die Gesellschaft«*) drukowało w całości, dostaje się do rąk polskiej publiczności jako zwierzątko zupełnie już obłąskawione.

Na wypadek, gdyby miała powstać wątpliwość co do — względnej — oryginalności zapatrywań wygłoszonych w Rzeczy o Horli, nadmieniam, że była ona drukowana jeszcze przed wystąpieniem Przybyszewskiego w Polsce. Zarozumiałe *»my«* obejmowało właściwie tylko dwie osoby: mnie i Stanisława Womełę, ówczesnego towarzysza moich pierwszych występów literackich. Naturalnie dziś po lekcjach, które polskiej literaturze dał Przybyszewski podobne programy jak w Rzeczy o Horli za nowe uchodzić nie mogą.

Inne uwagi literackie, tyżące się moich nowell, znajdzie czytelnik na końcu drugiego tomiku moich utworów p. t. *»Poezye i utwory dramatyczne«*, który wyszedł równocześnie z nowellami w tym samym nakładzie.



## SPIS RZECZY:

|                                    | Str. |
|------------------------------------|------|
| WYCIECZKA W ŚWIAT DALEKI - - - - - | 1    |
| DYURNISTA - - - - -                | 52   |
| WIELKI JEŹDZIEC - - - - -          | 80   |
| POGRZEB - - - - -                  | 94   |
| WRÓG I NIEPRZYJACIEL - - - - -     | 98   |
| CZEM JEST HORLA? - - - - -         | 115  |
| MAŁŻEŃSTWO MARAN - - - - -         | 124  |
| OKNO - - - - -                     | 146  |
| METAMORFOZY MOJSKIEGO - - - - -    | 163  |
| OD AUTORA - - - - -                | 181  |







Ksiąg. S. Kamiński  
Kraków, 2.6.65

60, -

3560

60

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI I SKŁADU NUT

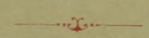
POD FIRMĄ

ALBIN STAUDACHER I SPÓŁKA

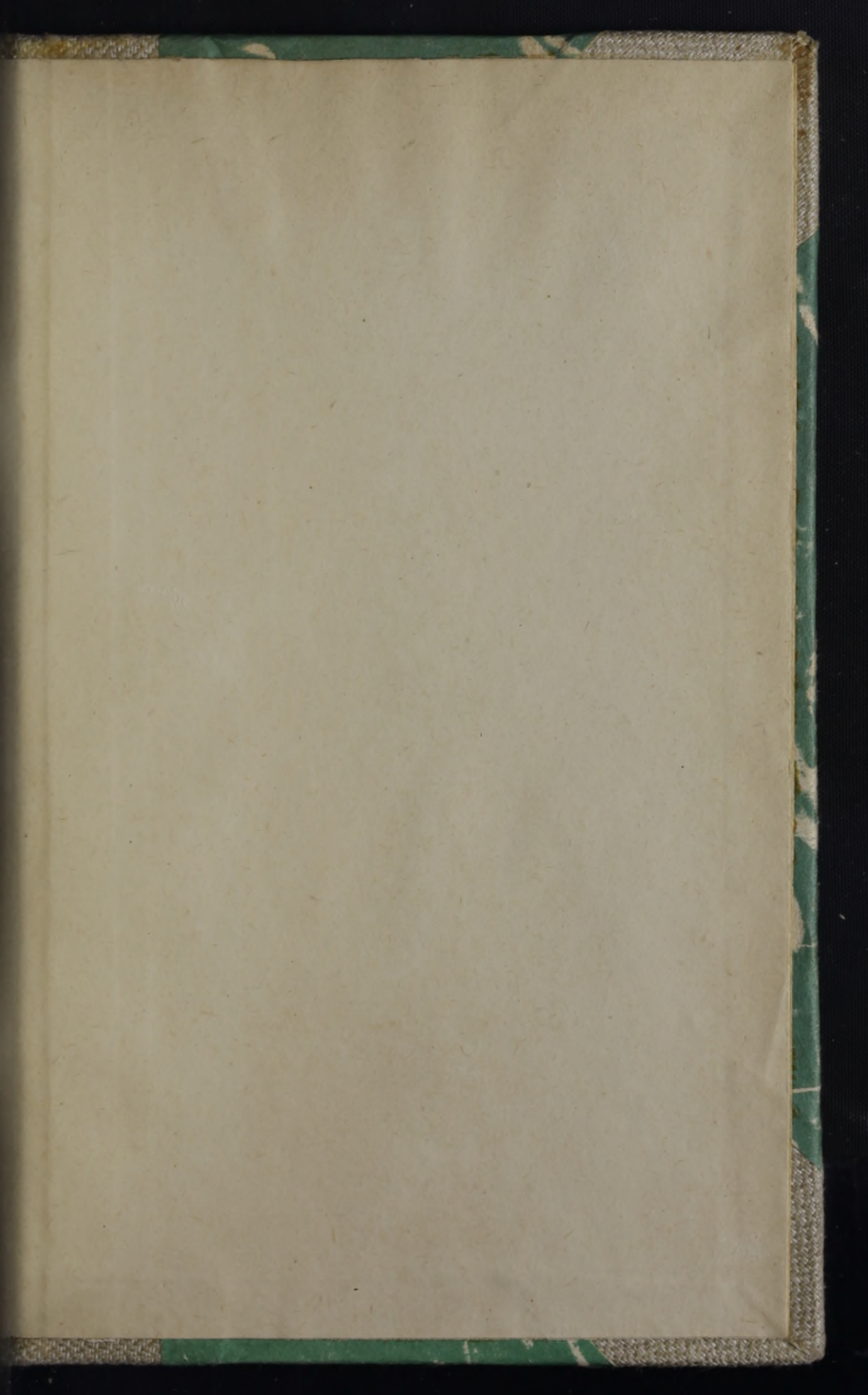
W STANISŁAWOWIE

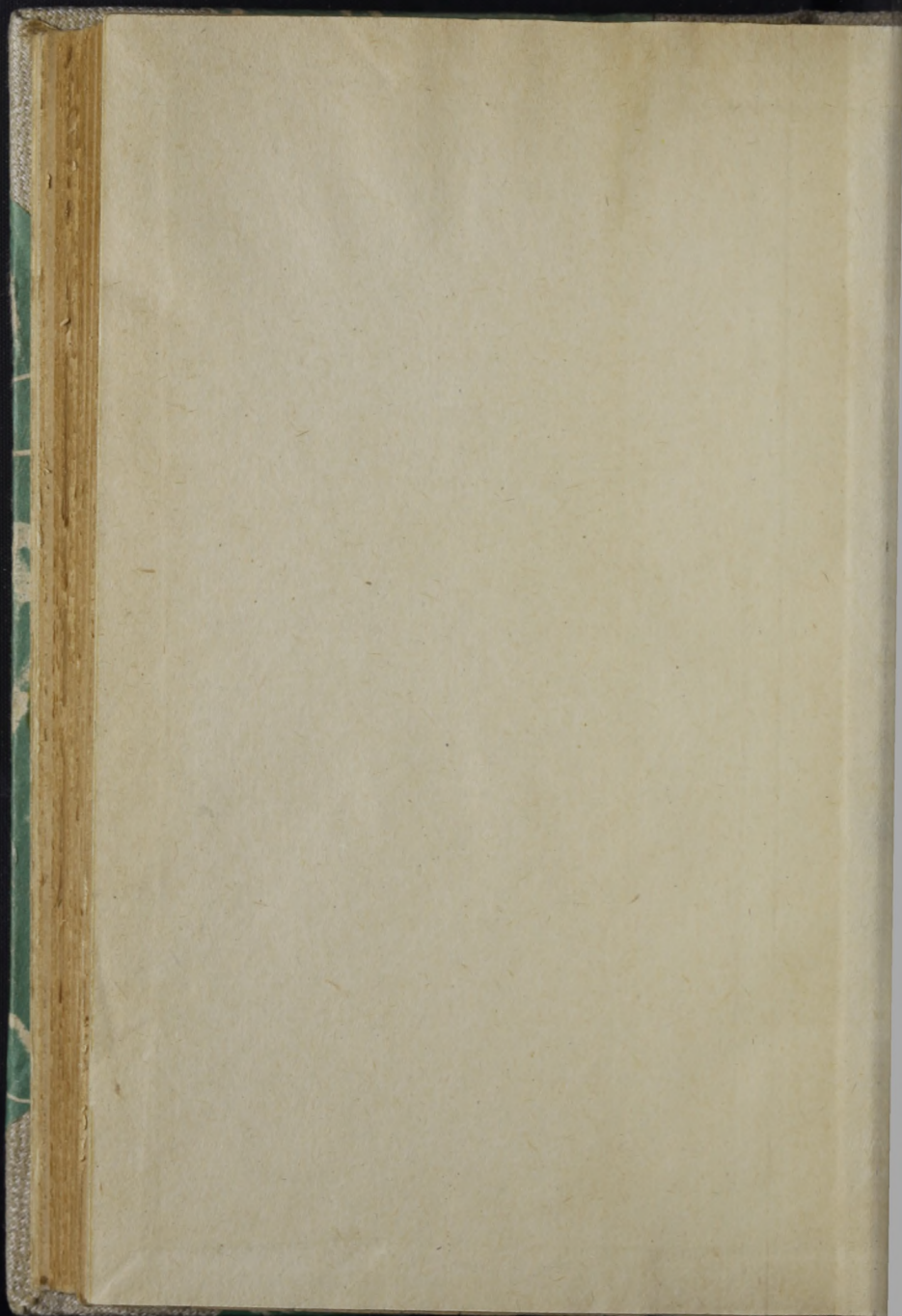
|   | K. h. |
|---|-------|
| BAUMFELD GUSTAW. Maksym Gorkij (ślądami czoł-<br>wicznictwa) . . . . .                    | 1 —   |
| BRZOSOWSKI STAN. Współczesna powieść polska . . . . .                                     | — —   |
| DOLOROSA. Confirno te chrysmate, przekład A. Stodora . . . . .                            | — —   |
| FELDMANN WILHELM. Pomniejszyciele olbrzymów . . . . .                                     | 1 50  |
| GORKIJ MAKSYM. Wareńka Olessówna, przekład Hen-<br>ryka Salza, wyd. II. . . . .           | 1 50  |
| DELLE GRAZIE M. E. Miłość i inne opowiadania, tłu-<br>maczyła Ewa Abranowiczowa . . . . . | 3 —   |
| IRZYKOWSKI KAROL. Fryderyk Hebbel, portret lite-<br>racki . . . . .                       | — —   |
| — Poezye i dramaty . . . . .  | — —   |
| OLSZEWSKI MARYAN. Współczesne malarstwo polskie . . . . .                                 | — —   |
| — Stanisław Wyspiański jako malarz . . . . .  | — —   |
| SALZ HENRYK. Powrotna fala, poezye, serya III . . . . .                                   | 1 60  |
| — Kwiat bagna, szkic powieściowy . . . . .  | 3 —   |
| SICZYŃSKI DYONIZY. 152 ukraińskich melodyj układu<br>na fortepian z tekstem jać. . . . .  | 6 —   |
| STODOR ADAM. Adoracya, poezye . . . . .   | 1 60  |
| — Drobne poezye K. Brodzińskiego do r. 1818. . . . .                                      | 1 —   |
| — Con dolore, poezye . . . . .  | 2 40  |
| VERLAINE PAWEŁ. Księga mądrości, przekład A. Sto-<br>dora . . . . .                       | 2 40  |
| ZATORSKI LEON. 150 powinszowań wierszem i prozą<br>dla dziatwy polskiej . . . . .         | 1 20  |

b  
wzrost

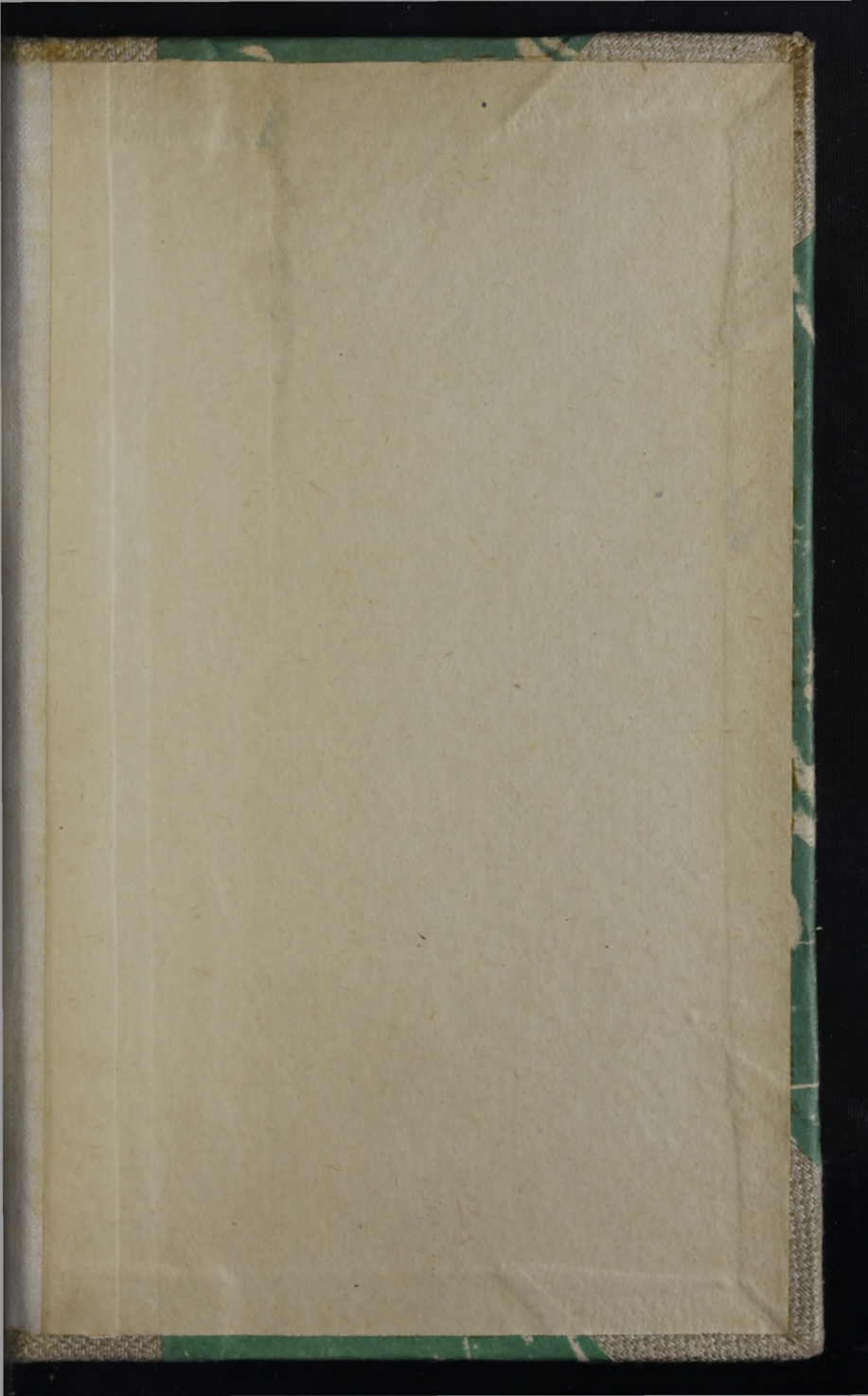














267825

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001016008296